

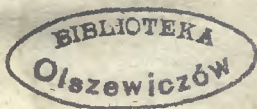
OBRAZY
OBYCZAJOW.

OBRAZY OBYCZAJÓW

I
WSPOMNIENIA PODRÓŻY.

ZEBRANE
Z NAJNOWSZYCH AUTORÓW I
PODRÓŻNIKÓW.

PRZEZ
F. S. DMOCHOWSKIEGO.



WARSZAWA

W DUKRNI PRZY ULICY Nowo-Se-
ntorskiéy NrO 476 Lit. D.

1 8 3 5.

K 1 e

375342

I

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



K-73/7932

23.5, 120,-

WSPOMNIENIA SZWAJCARYI.

Polowanie na kozy dzikie.

....Od kilkunastu dni, byłem w Unterseen. Któryż podróżny nie byłby się zatrzymał w tém miejscu? Jest to jedna z najpiękniejszych okolic Szwajcaryi. Między dwoma jeziorami Thoun i Brienz, jest to jak wyspa zieloności, którą w koło otaczają Alpy okryte lodami i sosnami. U ich stóp spoczywa chłodna dolina, po jej łąkach, wiją się żywe płoty z bzu i róż alpejskich, a pośród nich stoją odwieczne orzechy włoskie z szerokimi konary; tu i owdzie sterczą wieże na pół zwalone, stoją porządne domy wiejskie i snują się wieśniaczki jasno włose, w zgrabnych słomianych kapeluszach... jest to Arkadya, lub widowisko Opery.

Pewnego dnia, przechodząc przez wieś, zatrzymałem się przed prostym sklepem. Postawa kupca zwróciła moją uwagę. Był to człowiek, silny i czerstwy, ale na jego twarzy malowała się posępnosć. Jego towar porządnie ułożony na sosnowym stole, za którym siedział z jakąś dziką niespokojnością, składał się z osobliwości zebranych na górach. Były tam kryształ jeszcze powalane ziemią, świecąca się mika, wiele innych kruszców, narzędzia zręcznie wyrobione z bukszpanu, a nadewszystko rogi kóz dzikich, wygładzone, czarne i wyrobione tak, aby służyły za gałki do lasek albo za puzderka. Zbliżywszy się, postrzegłem że ten biedak nie miał prawej ręki, a słabość nóg zmuszała go do częstego siedzenia. Już to powodowany zajęciem, które wzbudzał we mnie, już to nie mając nic lepszego do czynienia, wdałem się z nim w rozmowę. Najprzód zapytałem się o cenę rozmaitych przedmiotów, a że

dosyć łatwo mogłem mówić jego dyalektem, ośmieliłem się zadać inne pytania. Cudzoziemiec zawsze może się czegoś nauczyć.

Człowiek ten nazywał się Hans Rudi, rodowity Szwajcar. Wprzód nim założył swój mierny handelek, trudnił się czynném rzemiosłem myśliwca.

Ach! rzekł do mnie, spoglądając z miłością i żalem, nie zawsze byłem przykuty do téj przeklętej budy. Był czas kiedy przebiegałem swobodnie te góry, te lodowiska, te górne płaszczyzny. Nikt lepiej odemnie nie znał mieszkańców Szeideck i Schwarzhorn. Gdyby ten przeklęty chirurg który mię zabić nie umiał, chciał mi powrócić władzę w nogach i rękę którą mi odjął, o! znalazłbym nie mało kóz dzikich, chociaż wszyscy mówią że są co raz to rzadsze w Oberland.

—»Co u licha! odpowiedziałem z uśmiechem? jeszcze chcielibyście polewać. Co do mnie, niechaj mię Bóg

zachowa od takiego rzemiosła, nie chcę narażać moich zdrowych rąk i nóg.

—»Gdyżście go nigdy nie zakosztowali, mój kochany panie.. Powiadam wam, że mój dziad i ojciec zabili się na polowaniu, a mimo tego nie chciałem go porzucić, dopóki tylko miałem rękę moją... rzekł, uderzając w osieroczone ramie, i aż do ostatniego dnia życia mojego: bo teraz jestem jak umarły: dźwigałem bez skrupułu i bojaźni moją pocziwą strzelbę.

»Dla nas Szwajcarów życie jest na górach, musimy spinać się na skały, przeskakiwać przepaści, walczyć z dzikimi kozami o pierwszeństwo w śmiałości i szybkości. Pozbaw nas powietrza gór naszych i przenieś na doliny, a będziemy schnąć jak alpejska róża, której kwiat rozwija się tylko za wiatrem idącym od lodów.

Gruba ła stała w oczach tego entuzyasty. Był to weteran, który przypominał sobie dawniejsze bitwy,

żeglarz który jeszcze raz marzył o oceanie i jego burzach, był to pionier Kupera, który przemierza w myśli swojej obszerne puszcze, ukochane od tak dawna!.. Czyliż możemy wytłómaczyć dziwny powab nadający taką poetyczną barwę życiu tych ludzi, poświęconych na trudy i niebezpieczeństwa?

Hans Rudi był dla mnie szacowną znajomością; odwiedzałem go często. Powoli dowiedzałem się historii jego życia i to od niego samego. Lubił bowiem opowiadać dzieła i przypadki swojej awanturniczéj młodości i doznawał wtenczas istotnego zadowolenia, chociaż złązonego z gorczyzą.

W izbie za sklepem, schował troskliwie swój dawny ubiór, trzewiki uzbrojone ostremi kolcami, dla zatrzymania się na pochyłości przepaści, długie kije okute żelazem, na których opierał się czyniąc najniebezpieczniejsze skoki, topór dobrze

wyostrzony do rąbania w skałę albo lodzie, strzelbę z gwintami, w którą młotkiem trzeba wbijać kule, a nawet sakwy w które kładł swoje pożywienie, nawet opłataną flaszkę, z której dotąd jeszcze, idąc za dawnym nalogiem, czerpał pocieszający trunek: wszystko to zachował i na ścianach zawiesił te zabytki myśliwskie.

»Patrzaj, mówił do mnie z uśmiechem, patrzaj, każdy z tych przedmiotów, obudza we mnie tysiące słodkich i smutnych wspomnień. Te strzelbę podarował mi ojciec; niechaj Bóg, śwleci nad jego duszą! Dał mi ją jako dowód zadowolenia swego, w tym dniu, kiedy po raz pierwszy trafiłem kozę dziką, która uciekając przed nami, miała się rzucić na drugą stronę potoku. Bo też nie ma przebiegłjszego zwierzęcia. Ileż to razy przebywszy całą noc na czatach, zacierałem ręce uradowany, postrzegłszy przy pierwszym połysku zorzy, spokojną trzodę, gryzącą o dwieście albo

trzysta kroków odemnie, wonną trawę na ustronnych pastwiskach. Ale brr... na próżno ukrywałem się pod krzakiem; pierwsza placówka, którą nasi nieprzyjaciele zawsze stawiają wokoło pastwiska, była czujniejsza odemnie. Nim jeszcze odwiodłem strzelbę, świst dał znak trwogi, a cała gromada uciekała. Wtedy trzeba było wspinać się i biedz, żadna bowiem przeszkoda nie wstrzymywała uciekających. Dwoma lub trzema skokami, już były na wierzchołku skały, albo też w głębi spadzistej przepaści. Ale Bogu dzięki i ja nie zostawałem w tyle.

—»Ach! na przykład, ta flaszka przypomina mi jedną historią: powiadał innym razem. Muszę wam powiedzieć że za przywilój polowania w całym kantonie Oberlandu, musimy znosić pewne ciężary, które na nas po przyjacielsku włożono. Na przykład: jeżeli młoda dziewczyna idzie za mąż, musimy złożyć jej podarunek ślubny:

dwie piękne kozy, ni mniej ani więcej, których mięso zastawione jest na biesiadzie, a którój rogami nigdy nie wzgardzi, dobra gospodyni. Otóż Piotr Joehl, najlepszy mój przyjaciel, miał siostrę. —»Hans: rzekł do mnie Piotr pewnego razu: Medeli idzie za Webera, oberżystę z Lauterbrunen, wesela będzie za trzy dni. Czyliż dozwolimy aby inni złożyli jój najpiękniejszy podarunek, jakim się panna młoda poszczycić może? Jdźmy dziś wieczór i zobaczmy za lodowiskami, czy nasi sąsiedzi nie wygonili wszystkiój zwierzyny. —»Zgoda, odpowiedziałem. Była to prawdziwa zabawka i poszliśmy.

Aby nam się tém lepiej powiodło, poszliśmy drogą w innym kierunku, nie tym, jakim zazwyczaj chodzą myśliwi. Byliśmy o kilka mil od wioski, gdy nad ranem postrzegliśmy całą gromadę tych zwierząt, których tak łatwo nie można oswoić jak mnie-macie. Dalibóg, zdaje mi się, że

jeszcze słyszę jak świszczą, widzę ich jak ciągną, jak lecą: to rzecz doskonała! W rzeczy samej, ciężko nam było gonić za niemi. Około południa ubiliśmy dwie kozy. Potém trzeba było myśleć o powrocie. Nie była to rzecz tak łatwa. Wystawcie sobie, żeśmy byli w nieznanej okolicy, na cyplu, dokąd zapał pogoni zaprowadził nas bez namysłu i rozwagi. Z jednej strony było morze lodów nie mające granic, z drugiej przepaść, wykopana prostopadle pod naszymi nogami. Oko zaledwie dostrzedz mogło kłębow białyj piany, zaledwie mogliśmy dosłyszeć huczenia potoku, spadającego po skałach, o kilkaset sążni pod naszym stanowiskiem. Nie szło nam tyle o możność zniżsicia aż w głąb téj przepaści po jej nierównych ścianach, ile o to, aby zejść z całym naszym ładunkiem: a kozę dziką nie tak łatwo nieść jak pokrajać. Nie byliśmy tak nikiemni, abyśmy chociaż na chwilę pomyśleć mo-

gli o porąbaniu zwierzyny. Cóżby powiedziała Medeli, gdybyśmy zamiast dwóch koz nietkniętych, przynieśli tylko ich mięso.

Cóż więc robić? Joehl przywiązał się ze swoją zdobyczą do liny, którą miałem ze sobą i spuściłem go aż na głaz wystający o trzydzieści stóp niżej nad przepaścią. Przyszła potem kolej na mnie. Za pomocą mego kija, po wystających głazach, dostałem się do mojego przyjaciela. Nim doszliśmy do kresu naszych trudów, kilkakrotnie powtórzyliśmy ten sposób i nie mieliśmy innego zachodu, prócz wybierania stopni. Jedno jednakże zdarzenie mocno nas zmieszało.

»Baczność, rzekł do mnie po cichu Joehl, gdyśmy stali na jednym z tych gzymsów nadpowietrznych, które były naszym jedynym środkiem ocalenia. Baczność i milczenie.»

Potém wskazał mi po cichu tale wyraźnie, iż wielki orzeł z tego potwornego gatunku jaki się tylko w

Alpach znajduje, latał nad moją głową, przynęcony zapewne wonią zwierzyny. Wkrótce usłyszałem iż uderza na mnie, uczułem dotknięcie jego mocnych skrzydeł, ale jużem się był przygotował. Kierując rękoma lufę mojej strzelby, nogą pociągnąłem kurtek, wystrzał wypadł, powtórzyły go tysiączne echa... Wróciłem z dwoma kozami i z najpiękniejszym orłem alpejskim, jakiego kiedy ubito. Za nagrodę dostałem tę piękną flaszkę i wstążkę, które Medeli przywiązała własnymi rękoma. Kochana Medeli! byłem dla niej drugim bratem.

—»Ach mój biedny Rudi! odpowiedziałem, ochłonawszy ze wzruszenia które wznieciła we mnie jego powieść. lękałem się czyli cię nie znajdę na dole téj przepaści, tak pokaleczonego jak teraz jesteś. Ale w jakiejże bitwie straciłeś rękę?

—»Mój kochany panie, jest to smutna przygoda. Gdybym jeszcze oddał moją rękę za drugiego orła; ale nie, po-

stradałem ją bez chwały; jak żołnierz który sobie złamie rękę w zimie, stojąc na załodze. W rok po zamęźciu Medeli, byłem w gospodzie Webera; chwila połogu zbliżała się, a biedna kobieta cierpiała okropnie. Trzeba było doktora, nie mieliśmy go we wsi, a drogą zwyczajną było pięć mil do najbliższego miejsca. Weber był strokanym. W tém pomyślałem, że idąc prostą drogą przez góry, będzie tylko godzina drogi do pomieszkania chirurga. Mówiono mi, że wczoraj śnieg upadł i że przez lodowiska przejść nie podobna. Cóż mię obchodziły te wszystkie względy? Poszedłem... ale bez mojej wiernej strzelby... to mi przyniosło nieszczęście. Aby iść prędziej, zrzuciłem z siebie wszystko co mi ciężć mogło. Cóż powiem? Noga pośliznęła mi się na świeżym śniegu, nie postrzegłem szpary między dwoma ścianami lodu, i wpadłem o trzydzieści, lub czterdzieści kroków głębokości. Bo też po co zostawiłem strzel-

bę? Po kilku chwilach omdlenia, odzyskałem siły. To prawda żem okropnie cierpiał; ale cóż robić? wlokłem się jak mogłem wzdłuż strumienia, który z tego miejsca wypływał. Dalióbóg dziwna przechadzka!.. Uszedłem tym sposobem przeszło milę pod sklepieniem lodu, którego zimno jeszcze powiększyło moje cierpienia. Nareszcie doczołgałem się do końca téj przepaści, o której myślałem że będzie uoim grobem. Znaleźli mię pastarze. Uwiadomili lekarza, przyszedł od śmiertelnego łoża biedny Medeli, aby mi bez miłosierdzia odpiłować rękę. Porzuciłem góry, gdyż zbyt mocne czułem zmartwienie, ilekroć nasi młodzi strzelcy, wyruszali na jaką wyprawę z zapasem prochu i nadziei. Jedyną moją pociechą odtąd, jest ten zbiór moich dawnych pamiątek myśliwskich...

—»I ty także! przydał, pochylając się dla ukrycia przedemną kilku łez, ku młodej kowie, którą mu podaro-

wał dawny jego towarzysz, a którą wychował z troskliwością, jaką nie wielu miałoby dla tego zwierza. Albowiem koza dzika lubi życie swobodne w górach i nie łatwo oswoić ją można.

AUGUST JULIEN.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY.

(z Dzieł Alex. Dumas.)

GENEWA I JÉJ OKOLICE.

W dogodności położenia, Genewa samemu tylko ustępuje Neapolowi; zbudowania u podnóżka góry Salève rozciąga się aż do brzegów jeziora i zdaje się z upodobaniem spoglądać na tysiące wiosek i folwarczków, rozsypanych na bokach gór po obu stronach miasta. Na jéj skinienie przybiega z mglistéj głębi jeziora, mnóstwo lekkich statków z trójkątnym żaglem, przesuwających się na powierzchni wody, małych i lotnych jak ptaki morskie, i te ciężkie statki parowe. Pod niebem tak piękném, przy wodach tak czystych, zdaje się że nie potrzebuje rąk ludzkich, że tylko

swobodnie oddychać powinna; a przecież ta gnuśna na pozór sułtanka, jest królową przemysłu, jest czynną i handlową. Genewa, w liczbie dwudziestu tysięcy mieszkańców, posiada osiemdziesięciu pięciu milionowych panów.

Geneva jak to wskazuje jój celtycka etymologia (1) założona była 2500 lat temu. Cezar w komentarzach swoich dał jój łacińskie zakończenie i *Gen-ev* zrobił *Geneva*. Antonin z kolei nazwał ją *Cenabum* Grzegorz z Tours w kronikach swoich nazywa ją *Janoba* pisarze od osmego do piętnastego wieku nazywali ją *Cebenna* nareście w 1536 przybrała nazwisko Genewy i zachowała je na zawsze.

Piérwsze wiadomości historyczne o tém mieście, znajdujemy w komentarzach Cezara. Powiada nam, iż za-
jął Genewę dla przeszkodzenia na-
jazdowi Helwetów do Galii, a uwa-

(1) *Gen*, wyszła; *ev*, rzeka.

żając że to jest dogodne, stanowisko wojenne, obwarował się w niem. W ten czas to wystawił na wyspie rozdzielającej Rodan, wieżę, która dotąd nosi jego nazwisko. Genewa przeszła więc pod panowanie Rzymian; świątynię Apolina wzniesiono na miejscu gdzie teraz stoi kościół Sgo Piotra, a skałę wychodzącą z jeziora o sto kroków od brzegu, poświęcono bożkowi morza. Na początku siedemnastego wieku, znaleziono przy niej dwa małe topory i noż miedziany do zarzynania zwierząt przeznaczonych na ofiarę. Teraz, ten ołtarz Neptuna, zowie się po prostu kamieniem Nitona. Genewa przez pięć wieków podlegała Rzymianom. W 426, zalał ją potok barbarzyńców, Burg-Hundowie zrobili z niej jedną z najznaczniejszych stolic swego królestwa (2). W owym to czasie król

(2) „Wojownicy sprzymierzeni“ z których autorowie łacińscy zrobili „Burgundiones“ a późniejsi „Burgundczyków“

Franków Hlode-Wig (3) posłał królowi Burg-Hundów. Gande-Balda (4) prosząc go o rękę jego siostrzenicy Hlode-Hildy (5).

Panowanie Ost-Gotow nastąpiło po Burg-Hundach; ale tylko lat piętnaście posiadali Genewę. Król Franków odebrał ją od nich i znowu przyłączył ją do królestwa Burgundyi, którego stolicą była aż do roku 858. Po śmierci Ludwika Dobrotliwego, dostała się w podziale Lod-Herowi, od niego przeszła do cesarza Niemiec, zdobył ją na nim Karol Łysy i przekazał synowi swemu Ludwikowi, po którego zgonie była przyłączona do królestwa Arles. Od owego czasu podbita w 888 przez Karola Łysego, została stolicą drugiego królestwa Bur-

(3) „Sławny wojownik“ po łacinie „Clodoveus“ po francuzku przez zepsucie „Clovis.“

(4) „Wojownik potężny.“

(5) „Szlachetna i piękna“ po łacinie „Clotilda.“

gundyi aż do 1032, w której to epoce przyłączoną została do cesarstwa niemieckiego.

Długo byłoby śledzić dalsze jej losy, poprzestaniemy na tém iż 1401 przeszła ostatecznie w moc hrabiów Sabaudyi.

W 1505 ogłosiła się rzeczpospolita. Wiek siedemnasty i osiemnasty były dla Genewy wiekami spoczynku. W owym czasie jej handel wzrósł tak bardzo, że przemysł jest wszystkiem w tém mieście, a własność gruntowa prawie niczem. Gdyby podzielono okrąg Genewy pomiędzy wszystkich obywateli, załedwieby na każdego przypadło dziesięć stop kwadratowych.

Napoleon zastał Genewę przyłączoną do Francyi. W 1814 nie wiedząc co z nią zrobić; oddano ją konfederacyi Szwajcarskiej, pod nazwiskiem dwudziestego drugiego kantonu.

Ze wszystkich stołecznych miast

Szwajcaryi, Genewa wyobraża arystokracją pieniężną; jest to miasto zbytku, łańcuchów złotych, zegarków, powozów i koni. Jój trzy tysiące rzemieślników, całą Europę zasila klejnotami. 75,000 uncyi złota i 50,000 grzywien srebra wyrabiają corocznie, a ich zapłata wynosi 2,150,000 franków.

Najznaczniejszy skład robót jubilerskich, jest niejakiego Beutte, niepodobna wyobrazić sobie bogatszego zbioru: sama nawet Kleopatra zdrżałaby na ich widok.

Cło od tych klejnotów na granicy francuzkiej jest dosyć znaczne, ale za opłatą pięć od sta, pan Beutte obowiązuje się przestać je przez kontrabandę. Umowa między nim a kupującym zawiera się pod tym warunkiem, jawnie i głośno, jak gdyby nie było na świecie celników. To prawda że pan de Beutte z niezmierną zręcznością umie ich podchodzić; jedno zdarzenie wybrane z tysiąca podobnych, przekona o tém.

Gdy hrabia de Saint Cricq był generalnym dyrektorem ceł, bardzo wiele słyszał o jego przebiegłości i postanowił przekonać się o niej. Pojechał więc do Genewy i kupił w magazynie pana Beutte za 30,000 franków klejnotów, pod warunkiem, że oddane będą w Paryżu bez opłaty cła. Pan Beutte przyjął warunek jako człowiek nazwyczajony do tego, i tylko podał kupującemu do podpisu, pismo, mocą którego tenże zobowiązał się zapłacić oprócz 30,000 fr. zwyczajne 5 od 100 wynadgródenie. Dyrektor uśmiechnął się, wziął pióro i podpisał *de Saint Cricq, generalny dyrektor ceł we Francyi* i oddał pióro panu Beutte, który spojrzawszy na podpis uśmiechnął się tylko i odpowiedział, »Panie dyrektorze ceł, przedmioty które miałem zaszczyt sprzedać panu, jednocześnie z nim przybędą do Paryża.

Urażony dyrektor, ledwie zjadł obiad, posłał po konie i wyjechał w godzinę po zawartéj umowie.

Przejeżdżając przez granicę, Pan de Saint - Cricq objawił swoje nazwisko celnikom, którzy chcieli przetrząsać jego powóz, opowiedział naczelnikowi komory co się stało, polecił jak największą baczność i przyrzekł 50 luidorów wynadgodzenia temu, kto schwyta przemycane klejnoty: wszyscy strażnicy nie zmruczyli oka przez trzy dni i trzy noce. Tymczasem pan de Saint - Cricq przyjeżdża do Paryża, wysiada z powozu, wita się z żoną i z dziećmi i udaje się do swego pokoju.

Najpierwsza rzecz, którą postrzega, jest zgrabne pudełko. Zbliża się i czyta napis przylepiony na wierzchu: *Panu hrabi de Saint - Cricq generalnemu dyrektorowi ceł*; otwiera je i znajduje klejnoty które kupił w Genewie.

Beautte porozumiał się z jednym ze służących oberży; ten zaś dopomagając ludziom pana de Saint - Cricq w pakowaniu rzeczy, wsunął między

nie zakazane pudełko. Gdy przyjechali do Paryża, kamerdyner widząc piękny kształt pudełka i napis na niem, czeimprędzej położył je na kominku w gabinecie pana.

Pan dyrektor ceł był pierwszym kontrabandzistą królestwa.

Inne przedmioty kontrabandy, których dostać można w Genewie o połowę taniej jak w Paryżu, są: bielizna stołowa i fajans angielski; te przedmioty są nawet tańsze niż w Londynie: albowiem przy wprowadzaniu ich do tego miasta, większą ponosić muszą opłatę niżeli kosztuje transpost do Genewy. Wszędzie, za opłatą pięć od sta, zaręczają za ich przemycenie przez granicę, co jest oczywistym dowodem użyteczności potrójnej linii strażników, których Francya opłaca.

Lubo w Genewie urodziło się wielu uczonych, jednakże handel jest główném zatrudnieniem jój mieszkańców. Ledwie niektórzy z nich oswojeni są z tegoczesnym stanem literatu-

ry i pierwszy komissant bankowego domu, poczytałby sobie za ubliżenie, gdyby większą zwracano uwagę na Lamartina i Wiktora Hugo, niżeli na niego; nie wie nawet o ich nazwisku. Jedyną literaturą Genewczyków, jest teatr. Pod czas mojego przybycia, panna Jenny Vertpré wszystkim zawracała głowy i ledwie nie powstał rozruch o to, że zabroniono chodzić za kulisami. Oświadczenia miłosne musiały więc rzucać na scenę; ale to nie zmniejszyło ich liczby. Jedno z tych oświadczeń dostało się do mnie i uważałem, iż trzeba było więcej bezinteresowności niż cnoty, ażeby mu się oprzeć; były to w ogólności faktury handlowe, w których żadna kobieta szacowna była podług bieżącej ceny prawdziwych pereł.

Salony Genewskie są na mniejszą skalę podobne do naszych przy Chausée d'Antin: lecz pierwotna oszczędność, daje się tam uczuwać mimo nabytego majątku.

Przedmioty godne widzenia w Genewie są: biblioteka posiadająca kilka starożytnych rękopismów, grób księcia de Rohan w kościele Sgo Piotra, i nareszcie dom J. Jakóba Rousseau, na którym jest tablica marmurowa z tym napisem:

TU URODZIŁ SIĘ J. J. ROUSSEAU
28 Czerwca 1712 r.

Wycieczki w okolice Genewy, są bardzo przyjemne, w każdej porze dnia, nająć można piękne powozy, i pojechać tam gdzie nas prowadzi ciekawość. Zwiedziwszy miasto, pojechaliśmy do Fernej; za dwie godziny jużśmy byli na miejscu.

Przebywszy ogród, weszliśmy do przedpokoju: tam zatrzymują się pielgrzymi, którzy przychodzą uwielbiać bożyszcze bezbożności. Burgrabia uroczyście zapowiada, iż żadna zmiana nie zaszła w umeblowaniu i że zobaczymy pokoje w takim stanie, w jakim były za życia Woltera; na to zapewnienie nie raz płakali rozrzew-

nieni prenumeratorowie Konstytucjonisty.

Nic tak nie bawi jak powaga burgrabiego, który oprowadza gości. Dzieckiem będąc, przyjęty był do usług Woltera, umie więc mnóstwo anegdot dotyczących się swego dawnego pana, które zachwycają poczciwych pielgrzymów. Gdyśmy weszli do sypialnego pokoju, cała familia otaczająca go w koło, połykała słowa z ust jego wychodzące, a jój uwielbienie spadało nawet na człowieka który był czyścił trzewiki i pudrował perukę Woltera. Niepodobna odmalować téj sceny; trzeba było patrzeć na nią. Powiem tylko, że ilekroć burgrabia wymawiał z akcentem jemu tylko właściwym, te uroczyste słowa, *Pan Arouet de Voltaire*, zdejmował z głowy kapelusz, a ci panowie naśladowali tę oznakę uszanowania.

Za dziesięć minut, przyszła na nas kolój; towarzystwo zapłaciło i odje-

chało, a Cicerone wyłącznie do nas należał. Oprowałdził nas po ogródku dość pięknym, z kąd był prześliczny widok; pokazał nam aleję w której Wolter ułożył *swoją piękną tragedję Irene* a zbliżywszy się do drzewa uciął kawałek jego kory i podał mi ją. Przytknąłem ją do nosa i do języka, rozumiejąc że to jest jakieś cudzoziemskie drzewo, mające woń i smak oddzielny. Bynajmniej; było to drzewo zasadzone przez pana Arouet de Voltaire, i jest we zwyczaju, aby każdy ze zwiedzających wziął jego odrobinę. To zacne drzewo ledwie nie uschło z przypadku którego doznało przed trzema miesiącami; jakiś zuchwalec wkradł się w nocy do zwierzyńca i zdarł trzy albo cztery kwadratowe stopy téj kory. — »Czyliż to jaki zapalony wielbiciel Henryady; dopuścił się téj sromoty? rzekłem. — »Nie panie, odpowiedział, sądzę iż to jest po prostu jakiś spekulant, który otrzymał obstalunek z zagranicy.

Po tem zaprowadził nas burgrabia do swojego pomieszkania. Chciał nam pokazać łaskę Woltera, którą dochował aż dotąd; a nareście ofiarował ją nam za luidora: gdyż ciężkie czasy zmuszają go do sprzedania téj pamiątki. Odpowiedziałem iż to jest za drogo. Znałem bowiem pewnego jegomości, któremu przed ośmiu laty sprzedał taką samą łaskę za piętnaście franków.

Wsiedliśmy po tém do powozu i pojechali do Coppet, do zamku pani de Stael.

Tam nie było ani gadatliwego burgrabiego, ani drzewa którego korę obcinają, ale piękny zwierzyniec otwarty przechadzającym się, biedna kobieta, która szczere łzy wylewa mówiąc o swojej pani i pokazuje pokoje pozostałe bez żadnej po niej pamiątki. Chcieliśmy widzieć biórko na którym powinny być jeszcze ślady atramentu spadającego z jej pióra, łóżko, jeszcze napełnione jej

ostatniem westchnieniem. Ale nie było świętém dla jój spadkobierców; pokój zamieniono w jakiś salon; meble wyniesiono Bóg wie gdzie. W całym zamku nie było nawet ani jednego exemplarza Delfiny.

Z tych pokojów, przeszliśmy do pokojów jój syna. Śmierć także tam uderzyła dwie ofiary. Pan de Stael i syn jego, umarli w trzy tygodnie jeden po drugim.

Chcieliśmy widzieć grób familii, ale testamentowe rozporządzenie pana de Necker wzbroniło do niego wniknięcia obcym osobom.

Wyszliśmy z Fernéj z zapasem wesołości, która mogła potrwać cały tydzień; opuściliśmy Coppet ze łzami w oczach i ściśniętém sercem.

LOZANNA.

Wsiedliśmy na statek parowy i popłynęliśmy do Lozanny. Widzę jeszcze ten statek, jak się przybliża dymiący się i okryty pianą; jak

w chwili gdyśmy mniemali że przejdzie nie widząc nas; zatrzymuje się nagle, drżący od gwałtownego wstrząśnienia; a potem stojąc w poprzek czeka na nas. Ledwieśmy stanęli na pokładzie, puścił się dalej. Jezioro Lemana, jest to morze Neapolu, jego błękitne wody, a co więcej jeszcze, te góry posępne, narzucone jedne na drugie, a nad niemi wszystkiemi objawia się śnieżne czoło góry Mont-Blanc, owego olbrzyma który ciekawie zdaje się spoglądać na jezioro, przez głowę innych gór, obok niego wyglądających jak pagórki.

Jakoż trudno przychodzi oderwać wzrok od południowych brzegów jeziora i zwrócić je na brzeg północny; a jednakże z téj to strony natura najhojniej rozsypała kwiaty i plony ziemi: są tam zwierzyńce, winnice, żniwa, wioska ciągnąca się kilka mil bez przerwy pod nadbrzegami jeziora, zamki zbudowane w najrozmaitszych położeniach, nio-

sące na wystawie datę swego początku. W Nyon budowle rzymskie, dzieło Cezara; w Conflans zamek gotycki, w Morges pałace wiejskie z tarasami na sposób włoski, a w głębi Lozanna z wybiegłemi w górę wieżami; Lozanna, której białe domy, zdaleka podobne są do łabędzi grzęjących się na słońcu.

Kanton Vaux dotykający się do Genewy, winien jest pomysłość swoją zupełnie odmienną przyczynę. Jego bogactwa nie są owocem przemysłu, ale płodem gruntu; ziemia tak jest podzielona, że na 180000 mieszkańców, liczy 34000 właścicieli. Wyrachowano iż to jest cztery tysiące więcej aniżeli w całej W. Brytanii.

Pod względem wojskowym, kanton ten jest najlepiej urządzony; a ponieważ każdy właściciel jest żołnierzem, ma więc 30000 ludzi zdających do broni.

Wojska szwajcarskie nie pobierają

żołdu. Co rok trzy miesiące przepędzają w obozie na obrotach wojennych. Nikt nie może być oficerem, kto nie służył przez dwa lata. Żaden właściciel nie może się żenić, jeżeli nie posiada munduru i biblii.

Kościół katedralny w Lozannie, zaczęty był przy końcu 15go wieku i już tylko brakowało dokończenia jednej dzwonnicy, gdy zamieszki religijne w roku 1536 przerwały budowlę. W chórze znajdują się groby zasługujące na uwagę, to jest papieża Felixa V. i Ottona z Granson, którego posągowi brakuje rąk, a to z następującej przyczyny:

W 1393 Gerard d'Estavayer zazdrośny o żonę swoją, do której zalecał się Otton z Granson, umyślił dla ukrycia prawdziwego powodu swojej nienawiści, oskarżyć go o zamach przeciw hrabiemu Sabaudyi Amedeuszowi VIII i dla poparcia swego oskarżenia wyzwiał go na pojedynek. Otton, chociaż osłabiony świeżą raną nie

odmówił wyzwania. Postanowiono, że zwyciężony straci obie ręce jeżeli się nie przyzna. Otton do występku, a Gerard do fałszywego oskarżenia.

Otton zwyciężony został, Gerard wołał na niego aby się przyznał do winy. Otton odpowiedział wyciągając obie ręce, które Gerard odciął za jednym zamachem.

Dla tego to, posąg jest bez rąk, podobnie jak i ciało. Gdy otworzono grób Ottona, aby jego szczątki przenieść do kościoła katedralnego, znaleziono szkielet okryty zbroją, z szyszakiem na głowie i ostrogami u nóg. Kirys złamany na piersiach, wskazywał miejsce, gdzie go ugodziła włócznia Gerarda.

Późniejsze grobowce są xiężnej Katarzyny Orłów i lady Strafford-Canning. Lord Strafford wyjednał mocną boleścią swoją, iż pozwolono żonę jego pochować w kościele. Napisał do Kanowy, polecając mu, aby jak najspieszniej zrobił nagrobek.

Dzieło gotowe było za pięć miesięcy, nazajutrz po dniu kiedy pan Strafford zawarł powtórne śluby.

Przewodnik nasz, uczony i przyjemny obywatel Lozanny, ztamtąd zaprowadził nas do domu pokuty. Wychodząc z kościoła, przypatrzyliśmy się przepysznemu widokowi jaki ztamtąd postrzegać można: pod nogami naszymi rozsiane były domy Lozanny, coraz to dalej położone jedne od drugich, im bardziej oddalały się od środka; za temi domami, błękitne jezioro gładkie jak zwierciadło, a przy jednym jego końcu Genewa, której dachy i kopuły blachą kryte, świecą się od promieni słońca, jak wieżyczki miasta muzułmańskiego; nareście na drugim końcu, posępne wąwozy walezyjskie nad któremi panują odwiecznym śniegiem okryte góry.

Jest to miejsce przechadzki dla miasta, ale ponieważ jest narażone na wiatry od zachodu, przeto nie

bezpieczne jest dla dzieci, starców i osób słabowitych. Rada kantonu postanowiła, iż na południowym toku miasta, zrobiona będzie przechadzka dla starców i dzieci, potrzebujących ciepła i słońca. Przechadzka ta kosztować będzie 150,000 franków.

Szwajcarya nie ma galer ale tylko domy pokuty. Mielśmy odwiedzić jeden z nich: zobaczyć zatem złoczyńców. Weszliśmy z tą myślą; ale ten dom tak był nie podobny do więzień francuzkich iż mniemaliśmy że jesteśmy w szpitalu.

Więźniowie mieli wtenczas rekreacyą, to jest mogli przechadzać się przez godzinę po czystym dziedzińcu na ten cel przeznaczonym. Wskazano nam niektórych, w sukniach w białe i zielone pasy, z obrózką żelazną na szyi: to byli galernicy.

Poszliśmy do okna wychodzącego na drugą stronę i widzieliśmy kobie-

ty przechadzające się po ogrodzie: był to ogród domu pokuty dla kobiet.

Zwiedziliśmy potem izbedki odosobnione, w których sypiają uwięzieni; były to ładne celki opatrzone kratami, w każdej celi były potrzebne sprzęty. W niektórych nawet znaleźliśmy kilkanaście książek. Celem tych domów pokuty jest, oddzielić od towarzystwa osoby mogące przynosić mu uszczerbek i oprócz tego poprawić moralność ludzi tamże osadzonych. W ogólności, nasi więźniowie francuzcy, wychodzą z więzień albo z galer, jeszcze bardziej zepsuci; więźniowie w Lozannie, wychodzą poprawieni. Poprawa ta, polega na zasadzie następującej.

Po największej części, występki są skutkiem nędzy; nędza ta pochodzi ztąd, że człowiek nie umiał albo nie zdołał wyżywić się z pracy. Oddalić go od towarzystwa, trzymać go w więzieniu przez czas krótszy lub dłuższy, będzie to karą, naznaczoną prawem;

ale człowiek ten, po jój wytrzymaniu, powraca między ludzi i znajduje się w takim samym a może i gorszym jeszcze położeniu, jakie zrządziło pierwszy jego upadek; to położenie, stanie się przyczyną drugiego upadku i nowych występków. Aby temu zapobiedz, trzeba opatrzyć go w przemysł i pieniądze, trzeba rozwinąć jego ukształcenie moralne i religijne.

Dla tego też, pierwsze prawidło w domach pokuty jest, że kto nie umie rzemiosła, nauczy się takiego, jakie sobie wybierze; a drugie, że dwie trzecie części z tego co w tém rzemiośle zarobi, do niego należć będą. Dodatkowy artykuł uzupełnia ten środek ludzkości. Upoważnia więźnia, do przesyłania trzeciej części tych pieniędzy ojcu lub matce, żonie lub dzieciom.

Tak więc, przyrodzone ogniwa, zerwane gwałtownie wyrokiem sądowym, odnawiają się przez te nowe stosun-

ki. Pieniądze przesłane familii, przysposabiają winowajcy dobre przyjęcie gdy wróci wysiedziawszy karę. Domowe zacisze którego tak długo upragnął, jest dla niego otwarte, ponieważ, zamiast coby miał wrócić hańbą okryty, ubogi i nagi, wraca oczyszczony z popełnionego występku i zabezpieczony na przyszłość, rzemiosłem którego się nauczył i pieniędzmi które zebrał.

Wiele przykładów służy na poparcie tego dobroczynnego systematu. Oto są szczegóły wypisane z xiąg domu pokuty.

B.... urodzony w 1807 w Bellerive chłopak od młynarza, ubogi, ukradł trzy korce mąki i skazany był na dwa lata więzienia. Wyszedł z tamtąd z oszczędzoną kwotą 70 franków oprócz wsparcia które był przesyłał swojej familii. Nauczył się dobrze rzemiosła tkackiego. Pod tą wiadomością pastor wioski do której był wrócił B. napisał własną ręką:

»Za powrotem do Bellerive, ten młody człowiek niezmiernie upokorzony wytrzymałą karą, ukrywał się u ojca i nie śmiał wyjść z domu. Młodzi ludzie ze wsi przyszli po niego w niedzielę i zaprowadzili go do kościoła.

S..... oskarżona za różne kradzieże na trzy lata więzienia, wyszła poprawiona i żałująca, a młode dziewczęta téj gminy, uwiadomione jak dobrze sprawowała się w więzieniu, wyszły przeciw niej i wśród siebie przyprowadziły ją do wioski. Jój oszczędność wyniosła 180 franków. (Jest prządką, umie czytać i pisać.)

D.... skazana na lat dziesięć zamknięcia za występki nierozmysłnego dzieciobójstwa, weszła do więzienia, nie umiejąc nic, wyszła doskonale umiejąca szyć i haftować, i oszczędziła sobie 1250 franków. Dziś boną do dzieci w jednym z najporządniejszych domów powiatu.

Mógłbym przytoczyć przynajmniej

sto takich przykładów, zapisanych na rejestrze jednego tylko domu pokuty. Przetrząšnjmy więc wszystkich galer i więzień francuzkich, a ręczę, iż w nich nie znajdziemy ani jednego takiego przykładu.

Wyszedszy z domu pokuty, poszliśmy na lody: filiżanka kosztuje 9 soldów, lepszych nie jadłem nigdy. Polecam je każdemu z podróżnych, który przejeżdżać będzie przez Lozannę.

Kto zwiedzi przechadzkę, kościół katedralny i dom pokuty w Lozannie, gdy napije się kawy i zje lody, nie będzie miał nic do czynienia w tém mieście, niechaj najmie powóz i pojedzie do Ville Neuve. Po drodze zobaczy Veraj i Blanaj, Clarens i skały Meilleraje, które Russo unieśmiertelnił piórem swoim.

SYCYLIANIE.

(z Angielskiego.)

Mało znamy Sycylią, tę starożytną wyspę, której dziwaczne obyczaje powinny były zwrócić uwagę podróżnych. Ale podróżny idzie zwykle za śladami poprzedników swoich. Podobą sobie Neapol, Rzym, Wenecyą, a zaniedbuje te szczątki architektury maurytańskiej, greckiej i rzymskiej w które Sycylią obfituje, szczątki leżące pośród głazów rozrzuconych przez wstrząśnienia natury i odbijające się w tych pięknych wodach, sklniających się pod błękitem nieba. — Rzymianie, Kastyllańczykowie, Muzułmanie, Anglicy, Francuzi, kolejno tu osiadali i wzniesli pośród tych gór barwionych promieniami zachodzącego słońca, kolumny swoich,

przysionków i stopnie amfiteatrów. Lata młodości mojej przepędziłem w tej krainie pełnej wspomnień, już to pośród góralów Alcamo, już to pośród żeglarzów Trapani, od których nie raz pożyczałem ich czapki i czerwonego płaszcza. Badałem ten kraj pozbawiony cywilizacyi i nie raz ukląkłem przed processyą mnichów razem z gromadami ludu. W liczbie zebranych przezemnie faktów, nie będących romansem albo powieścią, lecz anegdotami których nawet nie zamierzam upiększać, znajdują się dziwaczne, śmieszne, malownicze, nie podobne do prawdy i bardzo traiczne. Ta dzikość i zabobonność, pod którą jęczy Sycylia, sprawia że występki zdarzają się tam bardzo często. Zła administracya, staje na przeszkodzie ich ukaraniu. Człowiek pospolity, jeżeli stanie się winowajcą, ucieka w góry; možny, zamyka się w swoim pałacu.

Gdyby jawném było to wszystko co dziś jeszcze dzieje się w Sycylii, gdy-

by prywatne życie wielu Sycylianów rozmaitego stanu, mogło objawić się oczom ciekawych, znaleźlibyśmy fakta, przewyższające w dziwactwie i oryginalności, pomysły wszystkich pisarzy romansów. Jest to kraj, będący zupełnie za obrębem wyobrażeń naszych, obcy wszystkim prawom ludów, razem Maurytański, Kastylański, Włoski, dziki, rozwiozły, wykształcony, którego zrozumieć i pojąć nie można inaczej, tylko przez opowiadanie i przykłady. Nie mówimy tu o xięciu Palagonia, który wydał miliony na potworne posągi: znają go aż nazbyt; Goethe i pani de Stael tyle nasmieli się z jego szaleństwa, iż niepodobna aby czytelnicy nie przypomnieli sobie jego nazwiska. Nie daleko od jego dóbr, znajduje się drugi zwierzyniec xięcia Butera. Wystawił w nim klasztor, zamieszkały przez figury woskowe, wyobrażające mnichów. Ale ileż to owoców niedokła-

dniej cywilizacyi i bezsilności praw, zostaje zagrzebanych w ukryciu! Rozbójnicy któremi sławna pani Radcliffe zaludniła swoje dzieła, co krok znajdują się w Sycylii. Jój brzegi napastują korsarze; po starych opuszczonych klasztorach kryją się zbójcy. Pamiętają dotąd w okolicach Augusta o zamordowaniu trzechset pięćdziesięciu Francuzów, których powracających z Egiptu w 1800; burza wyrzuciła na brzeg. Często zdarza się, że gromada rozbójników zdobędzie klasztor leżący w górach. Wtedy wyrzynają bez miłosierdzia wszystkich mieszkańców i rabują skarby i depozyta, znajdujące się tamże. Taki jest stan społeczeństwa, własność tak mało jest zabezpieczona, iż ołtarze i mury klasztorne, są jeszcze najbezpieczniejszém schronieniem: a przecież rozbójnicy sycylijscy nie zawsze je szanują. Większa część przełożonych klasztorów, jest prawdziwemi bankierami Sycylii; w ich rękę składa

każdy to co ma najdroższego, a to zaufanie powszechnie wiadome, staje się powodem częstokroć smutnych wypadków, ale téż czasem i dosyć wesołych, jak się o tém przekonamy z następującego zdarzenia.

W roku 1806, baron niemiecki, Weder, zamyślając przepędzić kilka lat w Sycylii, wyjechał z Wiednia do Tryestu a tam wsiadłszy na okręt, wylądował w porcie Katana. Lubił dobrze jeść i pić; więcéj obdarzony siłami ciała niż umysłu, przywiózł ze sobą polecające listy i pieniądze. Przyszczono mu, że znajdzie gościnne przyjęcie w klasztorze świętego Mikołaja, zajętym przez benedyktynów i zamierzył sobie wypocząć u zacnych xięży po trudach podróży. Są niedaleko Katany dwa klasztory pod tém nazwiskiem: Świętego Mikołaja *na piaskach*, niedaleko miasta, gdzie teraz mieszkają zakonnicy i stary klasztor świętego Mikołaja, którego położenie tak jest dziwaczne jak malo-

wnicze, niebezpieczne i przerażające. Na lewym boku Etny, o dwanaście mil od Katany, o milę od wioski Nicolosi, wznosi się ten gmach osadzony starożytnymi wieżami, bardziej podobny do fortecy niż do klasztoru. Las odwiecznych dębów, których ciemna zieloność zaciąga się na zwaliska, jeszcze pomnaża okropność téj okolicy. Fundamenta klasztoru są o 2500 stóp wyżej nad powierzchnią morza. Zbudowany w 1156, był tak często zasypywany popiołem, oblany morzem gorącej lawy, zniszczony skutkiem trzęsienia ziemi, iż po wielokrotném odbudowaniu, zgromadzenie opuściło go ostatecznie w r. 1558 zstąpiło na płaszczyznę i zbudowało gmach mocny, poważny i wspaniały, w którym dotąd mieszka.

Zwaliska starego klasztoru Śgo Mikołaja, wspaniały przedstawiają widok. Gdy strudzony podróżny zatrzymuje się pod temi zwaliskami, z przestrachem czyta liczne data pożarów,

trzęsienia ziemi i wszelkiego rodzaju klęsk, które dotknęły ten klasztor od początku jego założenia, a których wspomnienie dotąd jest wyryte na kamieniu. Położenie miejsca, stósowne do rozmyślania religijnego, piękność, wzniosłość i obszerność krajobrazu, przestrach wzniecony bliskością wulkanu, głęboka cisza téj szczytnéj samotności, gdzie zakonnicy lat dawnych myśleli o Bogu i wieczności przy roztwartéj paszczy krateru, czyste powietrze w górach, wszystko to napełnia duszę głębokiém i wzniosłym uczuciem, na nieszczęście przerywaném niekiedy widokiem rozbójnika i jego strzelby.

Przed trzydziestoma laty, kraj ten był w stanie jeszcze opłakańszym. Bandyci obierali za siedlisko swoje, pieczary gór, i stare zwalone fortece, oblegali i rabowali nadbrzeżne miasta; sama nawet Katana 60,000 ludności mająca, musiała opłacać im daninę. Niekiedy wysyłano przeciw

nim jakie trwożliwe oddziały jazdy, które kryły się za płotami i uciekały za zbliżeniem się rozbójników. W roku 1806 stary klasztor Świętego Mikołaja stał się miejscem przytułku dla najgroźniejszej bandy. — Rozbójnicy nie lękając się wulkanu huczącego nad ich głowami, naprawili część murów, porobili strzelnice i ukrywali w niezmiernych podziemiach klasztoru, daniny i opłaty, które ściągali z całej okolicy. W epoce ich największego powodzenia, baron Weder przybywszy do Katany, chciał pojechać do klasztoru Sgo Mikołaja i zapytał się najpierwszego mulnika jakiego napotkał, którądy jest droga do tego miejsca. W chwili gdy uczynił to pytanie, znajdował się pod murami klasztoru Sgo Mikołaja na piasku. Mulnik mówiąc tylko dyalektem sycylijskim, rozumiał że jego wysokość niemiecka (bardzo źle mówiąca po włosku) pyta się o drogę do starego klasztoru. Nie mo-

gło mu się pomieścić w głowie, aby najnowano powóz i dwa muły dla pojechańia do Klasztoru na piaskach, przy którym się właśnie znajdowali. Jakażkolwiek była przyczyna jego błędu, umówił się o cenę i obydwu mieli ruszyć w drogę, gdy mulnik zdjawszy z głowy czapkę czerwoną, zbliżył się do barona, i z tym wyrazem wesołości i szyderstwa właściwym fizyonomii Sycylijczyków, zapytał się:

—»Czyli przypadkiem JWPan ma ze sobą wiele rzeczy?

Baron ledwie przez połowę rozumiejąc tę mowę najeżoną literami *z, q, u*, spojrzał surowo na furmana, i odpowiedział niemiecką włoszczyzną:

—»Moje pakasze: ja zapierać z sobą! tertejfel!

—»Ach! odpowiedział Sycylijczyk przecierając oczy i otwierając ogromną gębę, rozumiałem *vustra zzelin-cza!* rozumiałem, że JWPan zostawi swoje rzeczy w Katanie.

—»Zostafię moje pakasze i pieniądze?
zawołał uparty baron! nie, nie!

—»Jak się podoba *zzelincza*, rzekł
Sycylijezyk. Ale na *Giezu santzo*, kto
tam jedzie, tèn ztamtąd nie wraca.

—»Chcecie ochraniała tfoja mula!
(zawołał baron nie zrozumiawszy
końca peryodu i mniemając, że Sy-
cylijezyk robi trudności dla wyłudze-
nia od niego pieniędzy). Spieszyć
się lotra, ruszaj.

—»Jak się podoba wasza *zzelincza*.

Sycylijezyk ładował rzeczy, ale
tak powoli i świszcząc tak żało-
sną aryą, iż niemiec zniecierpli-
wił się, wyjął z futerału ogromne
pistolety i jak tylko można najbar-
dziej klnąc po niemiecku, zagroził
Sycylijezykowi gniewem swoim, je-
żeli śpieszyć się nie będzie. Fur-
man nie zmieszał się, zagwizdał ta-
rantellę i usłuchał nowego pana. Mu-
ły poszły truchtem, a furman roz-
myślając nad temi okolicznościami,
wniósł sobie, iż baron musi byđz

w dobrém porozumieniu z rozbójnikami, którzy teraz zajmują klasztor. A że rozbójnicy nigdy nic złego nie robią furmanom, jeżeli od nich nie doznają oporu, Sycylijczyk nie sprzeciwiał się dłużej i ruszył do starego klasztoru. Baron Weder jeszcze nie jadł obiadu, a już była godzina szósta. Nie obgadując Niemców, których we wszystkich romansach wystawiano tak żarłocznymi, możemy przecież mniemać, że po żegludze dosyć dłużej i surowej dyecie, nasz przewodnik rozkosznie marzył o smacznej kuchni benedyktynów, o przyjęciu jakiego dozna i o starych winach, które wydobędą z piwnic na uczczenie jego przybycia. Niechaj oddaje się tym rozkosznym obrazom, przez ten czas gdy furman i jego dwa muły idą wzdłuż wąwozów Etny!... Nagle, baron Weder ogląda się, zdziwiony dzikością okolicy. Zdaje mu się że podróż trwa nazbyt długo, i odchyłając firanki powozu, woła:

—»Héj! gdzież jesteście?

—»Na drodze do klasztoru Sgo Mi-kołaja.

—»Czy droga jest bezpieczna?

—»Nie bardzo, ostrzegałem waszą *zzelincza*.

—»Tejfel! tejfel! czy jeszcze jest daleko? Kiedyż staniemy na miejscu?

—»Przed nocą? jak się spodziewam.

—»Przed nocą! zawołał rozgniewany i głodny baron. Śpieszmy się, dobrzy ojcowie już będą po wiecz-
rzy i nic nie dostaniemy.

Na te słowa *dobrzy ojcowie*, fizy-
nomia Sycyliczyka jeszcze bardziej
przybrała wyraz szyderstwa i podzi-
wienia.

Zdawało mu się, iż baron nie ma
dokładnej wiadomości o miejscu
dokąd jedzie i zawołał wiele zna-
czącym tonem.

—»Waszój *zzelinczy* bardzo jest
pilno jak mi się zdaje?

—»Głód mi dokucza nieznośnie.

—»Ci panowie uleczą was z głodu.

—»Spodziewam się! spodziewam się! mówił baron nie wychodząc z błędu. Ale zdaje mi się iż lepiej było by zjeść obiad w Katana.

—»*Zzelincza?* czy mam się wrócić do miasta.

—»Do tysiąca szatanów! nie! ruszaj jak najprędzej do klasztoru.

»*Zerebello de Tedesco!* szalony Niemiec! pomruknął furman poganiając swoje zmordowane muły.

Z wąwozu w wąwóz, z wierchołka na wierchołek, już to wdzierając się na okropne urwiska, już to zapuszczając się w przepaści podobne do bram piekielnych, nasi podróżni dojechali nareście do starego klasztoru, którego czarne i na pół rozwalone mury stały na wierchołku wzgórza. Furman zlął z kozła, i na rozkaz hrabiego drżącą ręką podniósł stary i zardzewiały młot żelazny. Młotek opadł ciężko, a odgłos jego upadku, echa powtórzyły kilkakrotnie, w głębokich jaskiniach obalonego gmachu.

Gromady nocnych ptaków zerwały się z pomiędzy rozpadlin, a wkrótce potem, dzwon podobniejszy do tego w który na gwałt uderzają, niż do skromnego klasztornego dzwonka, rozległ się po dolinach, przepaściach, wąwozach i zgasł stopniami jak grzmot daleki.

—»Do czarta! zawołał baron, jakiż dzwonek! A jednakże drzwi nie otwierają się, bracia muszą spać mocno, zapukaj raz jeszcze.

To mówiąc, podniósł głowę, i ujrzał brodatą figurę z najeżonemi włosami, jak w obrazach Salvatora Rosa, wyglądającą pomiędzy zwaliskami i przypatrującą się uważnie podróżnemu, furmanowi i mułom. Długie narzędzie podobne do lufy, wymierzone ku głowie podróżnych, pokazywało się w dziurze muru. Każdy inny prócz naszego podróżnego, byłby je poczytał za narzędzie wojenne, ale baron Weder ciągle mając nabitą głowę tą myślą, że przyjechał do kla-

sztoru benedyktynów, wziął je za ko-
niec krucyfixu. Zdziwiła go jednakże
ta nieprzyjacielska postawa, ale przy-
pisał ją niebezpiecznemu położeniu
klasztoru.

— »Dobry wieczór przyjacielu! za-
wołał. Jesteście zapewne odźwier-
nym klasztoru, otwórzcie nam proszę.

— »Powoli! powoli! ktoś jesteś?

— »Nazywam się baron Weder,
mam polecające listy do waszego sza-
nownego przeora.

— »A!.. do licha! a wielu was jest?

— »Dwie osoby, ja i furman. Nim
otworzycie bramę, on wyładuje rze-
czy.

— »Za nadto jesteście pośpiesznym.
Macie zatém wiele rzeczy?

— »Nie wiele; nic takiego co by wam
zawadzało.

— »Nie troszcz się o to, im więcej
tém lepiej.

Baron uważał, że ta figura grub-
jańska była grzeczna po swojemu, i
czekał spokojnie, dopóki ten dziwa-

eczny odźwierny nie znajdzie i ciężkiej bramy nie otworzy. Otworzył je wręście i porwał z pośpiechem za tłomok, co baron poczytał za dobrą wróżbę.

—»Zaprowadź mię do waszego przeora, rzekł:

—»Do naszego przeora? powtórzył odźwierny.

—»Tak jest, mam list do niego, mówił dalej Weder, wyjmując list z pugilaesu: »Do przewielebnego przeora Benedyktynów w klasztorze Sgo Mikołaja.

—»To dobrze, to dobrze.» Odźwierny wstrzymywał się od śmiechu. Nasz kapi.... chciałem powiedzieć nasz przełożony, wyjechał teraz w okolicę, ale nie wątpię że usłyszał duży dzwon klasztorny i wkrótce powróci. Będzie z wami śpiewać nieszpory. Odpraw tego chłopaka, już go nie potrzebujesz: przydał wskazując na furmana, który nie czekał aż mu to dwa razy powtórzą, i gwiżdżąc głośniej

jak za zwyczaj, odjechał do Katany, nie oglądając się za siebie. Wnętrze klasztoru przedstawiało bardzo dziwny widok; wszędzie widać było zwaliska; tu i owdzie porozbijane beczki, nigdzie nie było krucifyxu, ani żadnego godła wiary; ogniska porozpalane na ołtarzach i liczne ślady spustoszenia; odźwierny postrzegłszy podziwienie barona, tłómaczył jak mógł skąd to wszystko pochodzi.

Jesteśmy wystawieni na napady łotrów. Gdybyśmy mieli kosztowne sprzęty ukrywalibyśmy je troskliwie; wiesz oprócz tego, że posiadamy inny klasztor na płaszczyźnie, zupełnie bezpieczny. Przełożony lepiej opowie to wszystko. Ponieważ musimy zawsze być w gotowości do obrony, nie nosimy sukni naszego zakonu. Wnijdź do téj sali i obejrzyj pan swoje rzeczy, abyś wiedział co oddajesz w nasze ręce. Gdyby najmniejszej odrobiny brakowało, przełożony, człowiek tak surowy, ukarałby mię bardzo ostro.

Weder uwielbiał tak wielką uczciwość, lecz głód mu dokuczał, podziękował odźwiernemu i czekał cierpliwie chwili tak pożądanego obiadu; za godzinę weszła nowa figura: ubrana na pół po wojskowemu na pół po cywilnemu, a za nią odźwierny.

Oto jest nasz przełożony; rzekł tenże. Oddajcie mu wasze listy.

Przełożony, człowiek mający około czterdziestu pięciu lat, z mężką i odznaczająca się fizyonomią, ukłonił się baronowi, wziął go za rękę, z widoczném zadowoleniem przeczytał list i rzekł:

Żałuję, iż dzikie położenie naszego klasztoru nie dozwala nam przyjąć pana stósownie do jego stopnia; jesteśmy jak widzisz, biedni pustelnicy i stół nasz dosyć jest ubogi.

Wybacz więc nam i przyjmij nasze dzięki za twoje zaufanie z jakim szukasz u nas gościnności. Co się zaś tyczy depozytu którym mię zaszczycasz, bądź spokojnym. Skrzynie

naszego klasztoru nie łatwo pozbywają się swojej zdobyczy i przyrzekam ci, iż będąc miał o nim szczególniejsze staranie. Żałuję tylko: przydał uśmiechając się wdzięcznie: że kwota jest tak mała.

Nareście biedny baron doczekał się wieczery; gwałtowność apetytu nie dała mu zwracać uwagi na salę jadalną; żaden malarz byłby nie pragnął rozmaitszego i oryginalniejszego widoku. Była to lampa zawieszona u sklepienia, zakopcona, której długie dzioby, podobne były do dziobów Himery wyrzucających dym i płomień, a przy jej świetle pokazywały się najdziwaczniejsze postaci. Ubiory ich tak były rozmaite, jak twarze; było na nich złoto, miedź i łachmany, kosztowne materye z rozmaitych epok, ubiory wszystkich stanów, składały się na ubranie jednego człowieka. W ogólności wojenną mieli postawę, każdy miał broń przy sobie, noże, sztylety, szable

pałasze: można było zebrać cały arsenał. Ci ludzie nie mający w sobie nic zakonnego, szybko zajadali potrawy i klęli tak, że baron nie raz podniósł głowę i patrzył na nich. Nie było żadnych ozdób w sali. Wokoło wisały piękne obicia z pajęczyny i kilku niedoperzy latało pod wysoką posową. Stary rozbity krucyfix wisiał przy murze. Nie odmówiono ani *benedicite*, ani żadnej modlitwy, wino było przewyborne, a głębokie milczenie przerywał tylko brzęk kieliszków i szklanek. Przy końcu wieczerzy, rozwiązały się języki; opowiadano różne historye, a powieści o zbójcach szczególnież zajęły uwagę przytomnych.

— »Dalibóg! zawołał jeden z nich, niepomnając na powagę swojego charakteru; ci rozbójnicy nie są tak źli, jak o nich mówią. Baron Weder, który niezawodnie będzie skradziony nim przyjedzie do Katany, sam się na to zgodzi, i jestem pewny...

—»Dobrze! zawołał baron, coraz to odważniejszy, w miarę jak mu w głowie szumiało, dam im to wszystko, co mi będą mogli ukraść.

—»A gdyby i teź pana wzięli za słowo?

—»Nie słyszą mię.

—»*Per Bacco*, zawołał drugi, strzeż się baronie; oni wciskają się i do naszego klasztoru.

—»Nie mogę temu wierzyć. Czy rozbójnicy o których wspominasz są liczni, czy są niedaleko?

—»Tuż przy tobie, i tak ich wielu, że to jest cudem iż jeszcze żyjesz.

Żart posunięto za daleko; baron zbladł i cała wesołość którą wzbudziło w nim doskonałe wino, znikła nagle. Nadaremnie przeor usiłował orzeźwić go, kilkakrotnie pijąc do niego. Przepadła wesołość Wedera.

—»Przynajmniej spodziewam się, rzekł przeor, nie daśes poznać furmanowi co miałeś w twojej walizie. Bę-

dzie temu dopiero ze sześć miesięcy, ubogi podróżny którego przyjęliśmy w gościnę, został ze wszystkiego obdarty, przez rozbójników którzy weszli oknem do jego izby.

—»To prawda! przerwał jeden z biesiadników, było to w środku zimy i zostawiliśmy jednego tylko laika w klasztorze, który bronić się nie mógł.

Usiłowano uspokoić barona i utopić w winie jego bojaźń i podejrzenia. Dokazano tego. Usnął snem tak głębokim, iż nie promienie zorzy, ale blask słońca otworzył jego powieki. Otrząsł się, przetarł oczy, spojrzał wokoło siebie i zdziwił się bardzo, ujrawszy iż przespał się na ziemi, mając głowę opartą na mantelzaku, pod gołym niebem. Klasztor, mnichy, przeor, refektarz, wszystko to znikło. Szybkim przebiegiem myśli porównał fakta, imiona, wspomnienia, wyrazy furmana, rozmowę pijaków, odmienne położenie dwóch klasztorów. Zrozumiał co się z nim stało. Czem prę-

dziej otworzył mantelzak. Wszystko tam było w porządku; znalazł swoje zapiski, szkice, listy dotyczące się interesów, bilety miłosne, tytuń, fajkę piankową, wszystko, prócz pieniędzy które wczoraj oddał przeorowi. Zamiast pieniędzy był kwit następujący.

Zeznaję, że przyjąłem od hrabiego Weder, sumę trzy tysiące sześćset czterdzieści cztery dukatów, z której zdam rachunek komu się należeć będzie.

Podpisano *Przeor* starego klasztoru Świętego Mikołaja.

16 Października 1806 w starym klasztorze Świętego Mikołaja.

Ci złodzieje którym baron łatwo przebaczył swoją krzywdę pieniężną, za to że go zostawili przy życiu, utrzymywali się przez dwa lata w téj warowni. Na nieszczęście swoje, ośmileni długim powodzeniem, nadużyli go; ich śmiałość nie znała granic i nareście oblegli miasto Katana. Ich wycieczki kilkakrotnie powtarzane, obudziły uwagę rządu. Przypadkiem były wtedy w Messynie trzy batalio-

ny angielskie. Wezwano ich pomocy. W chwili ich przybycia, złoczyńcy zstępowali z gór. Zwalczeni przewyższającą liczbą, schronili się do jednego domu i tam bronili się przez trzy dni. Baron Weder miał odpłynąć gdy spotkał przeora klasztoru świętego Mikołaja, albo raczej kapitana bandy, związanego i posadzonego na mule głową do ogona, i ściganego najgrawaniem się pospólstwa, które cieszyło się z jego męczarni.

Przyznać trzeba, że ci panowie rzadko okazywali taką łagodność z jaką postąpił proboszcz świętego Mikołaja. W 1828, klasztor świętej Klary był wzięty szturmem, wszystkie zakonnice zamordowano.

Nazajutrz po tej rzezi, miały przybyć fury z żywnością i z pieniędzmi, które oddano na skład do klasztoru. Złodzieje otworzyli bramy nie mówiąc, wpuścili wozy i przywłaszczyli sobie zdobycz. Wkrótce potem uderzyli na klasztor mni-

chów. Tym razem nie poszło im tak łatwo: mnichy bronili się odważnie i dopiero po kilku dniach oblężenia gdy im zabrakło prochu, musieli poddać się i wymordowano ich co do jednego.

Rzecz dziwna, że z łona tych dzikich obyczajów powstaje niekiedy kilka osób, które, w grzeczności i wykształceniu umysłu walczyć mogą o pierwszeństwo z ludźmi najwytworniejszemi i najoświecieńszemi nadworach Europy. Szlachta sycylijska, która odbywała podróże za granicą, odznacza się częstokroć żywością i przyjemnością umysłu i łatwo byłoby mi przytoczyć kilku, jaśniejszych w pierwszym rzędzie ludzi światowych. To prawda że z ich wytworem i dobrym tonem, miesza się zawsze jakiś cień imaginacyi i fantazyi. I tak spotkałem nie daleko Palermo, starego hrabię sycylijskiego, był to człowiek bardzo dowcipny, przyjemny, przyjaciel ludzkości i miał tylko tę

jedną dziwną manią, iż chciał leczyć obłąkanych. Zamek swój i zwierzyńiec, przemienił w szpital i chorych leczył za darmo. Gdy podróżował po Europie, uderzyło go, mówił, barbarzyńskie obchodzenie się z obłąkanymi. Zastanawiając się nad tą słabością przekonał się, że jedyném, prawdziwém lekarstwem, jest łagodność i uleganie; iż trzeba zawsze podchlebiać dziwactwom i humorowi obłąkanych; że ich szpital powinien być prawdziwym rajem. Stósownie do tych zasad, uczynił ogólne wezwanie o wszystkich waryatów Sycylii i zebrał ich w swoim domu. Nie było tam łańcuchów, więzów i kaftanów. Najweselejsze malowania zdobiły pokoje; wytryskające fontanny rozlewały wszędzie świeżość i czyściły powietrze; każdy chodził w ubiorze jaki mu się podobał, błąkał się swobodnie, a służący grzeczni i przyjemni, zadosyć czynili wszystkim jego żądaniam.

Zwiedziłem ten instytut. Nie podo-

Łna byłoby domyśleć się że to jest dom waryatów. Instytut ten podobny był do wiejskiego domu jakiego magnata. Na drzewach zawieszono bujające się łożka. tam hrabia kazał kłaść najuporczywszych waryatów, a gdy kołysanie nadawało ich ciałom ruch zbawienny, inna osoba, śmiejąc się, skrapiała zimną wodą twarz pacjenta. Ta lekarska metoda, bardziej podobna była do żartu, niż do ukarania. Hrabia utrzymywał, że zawsze osiągnęła zamierzony skutek. Pod cieniem dębów i wielkich sosen, znajdowało się mnóstwo dziwacznych osobliwości, mogących przyjemnie rozerwać; tu zwodnicze perspektywy, tam kąpiele kropliste, które wytryskiwały ze skał i spadały jak rosa niedostrzeżona okiem; nieco dalej, pomalowane posagi, na pół ukryte między drzewami, i tak zręcznie ułożone, iż nie podobna było nie przypisać im życia, którego nie dostawało i nie śmiać się z ich postawy. Wszystkie cwi-

czenia pomocne zdrowiu, balon, piłka, huśtawka, żegluga na małym jeziorze, pływanie, były częścią leczenia. Służący nadewszystko mieli zalecone, aby zawsze byli w dobrym humorze i oznakami zadowolenia i wesołości dopomagali do podźwignięcia tych umysłów, zagrzebanych pod ciężarem nieszczęść.

Dla uleczenia niektórych waryatów, stary hrabia wyprawiał wielkie ucztę, mającą na celu pochlebianie najdziwaczniejszym ich uwidzeniom. Temu który utrzymywał że jest królem Włoch, wyprawiał uroczystą koronację; temu, który chciał być Bogiem, kazał oddawać cześć powszechną; niczego nie brakowało, cherubinów, serafów, archaniołów. Obchodził swoje, własne wesele z młodą grecką, która podczas rozbicia okrętu postradawszy rozum, utrzymywała że jest wielką sułtanką. Bardzo wielu obłąkanych uzdrawiał tym sposobem, ale przydać muszę że stracił

inajątek na tę dobroczynną manią, i że na krótki czas przed śmiercią, ciężkie kłopoty pieniężne zagrażały temu zawnemu oryginałowi, na którego rady i postępowanie, powinniby zwrócić uwagę lekarze wszystkich wykształconych krajów.

WSPOMNIENIA PODRÓŻY.

PÓŁNOCNA EUROPA.

(z Angielskiego)

Wielkie prawo równoważenia, skutkiem którego ludy południa i północy, przesyłają sobie wzajemnie oświatę, nie zmieniło się i za dni naszych. Północ, która po wszystkie czasy, najpóźniej oswajała się z cywilizacją, zdaje się być od wieków przeznaczoną na jej wydoskonalenie, nadanie jej większej mocy i potęgi, skupienie niejako [całej] masy promieni i odsyłanie ich potem spóźnionemu południowi, kolebce, gdzie powstał pierwszy popęd, lecz nie dosięgnął szczytu doskonałości.

Zdaje się że to zjawisko jest skutkiem konieczności. Znachodzimv

go wszędzie: na wielkiej, równie jak na małej skali, cechuje dzieje starożytne i tegoczesne. Pierwszy promień błysnął z Indyi, może nawet z Chin, przebiegł Assyryą, Fenicyą, Judeę, Persyą, przesunął się brzegiem Azji mniejszej, ugodził Grecyę jakby iskrą elektryczną i ciągle dążąc ku północnemu zachodowi, przeniknął nakoniec w Auzońskie pustynie. Zastuguje na uwagę, że ostatnie krainy do których dosięgnął, przyjmując cywilizacyą już przez inne wypracowaną ludy, światło zwiększone i bogate promieniami które przyswoiło sobie po drodze, coraz wydoskonalał się kunszt, naukę postępowaniem lat zwiększoną, odznaczając zachowały pierwszeństwo nad pierworodnymi oświaty krajami.

Tak płynęła oświata z południa ku północy, wyzłobiając sobie coraz szersze, głębsze łóżysko, nie tracąc ani kropli wód swoich, owszem zwiększając i gromadząc je bezprzestannie,

w miarę, jak w hołdzie zlewały się w jęj łono, wszystkie udoskonalenia umysłu ludzkiego.

W późniejszych wiekach toż samo postrzegamy. Rzym, Bizancjum, ucywilizowane przez Greków, cywilizują Gallią, Brytanią, Germanią, aż do wysp północnych osłoniętych Cymeryjską ciemnotą. Świetność Hiszpanii pod Arabami, Prowancyi w średnich wiekach, obudzą nowe poetyczne życie w Europie. Belgia, środkowa Gallia, były barbarzyńskimi w porównaniu owych krain; Anglią jeszcze grubsza kryła niewiedza. Wieki upłynęły; północ i południe zmieniły swoje role. Północ tak dobrze skorzystała z nauk południa, iż je przewyższa we wszystkim. Krainom północnym dostał się teraz w udziale przemysł, w najdowcipniejszém, najbardziej zadziwiającém rozwinięciu; owładnął nawet piękne sztuki i kształci je z większą znajomością i mocą, jeśli

nie z natchnieniem i wdziękiem po-
łudnia. Muzyka należy wyłącznie do
Niemiec; snycerstwo znalazło aż przy
krańcu ucywilizowanej Europy, w Da-
nii, najstawniejszego czasów naszych
sztukmistrza, Tordwalsena. Skandy-
nawia i Finlandya, przez jeograficzne
położenie, ostrość klimatu, srogość
złodowaciałej natury, zdawały się
stawiać oświacie nieprzezwyctęzoną
zaporę. Jednakże Szwecya, Norwe-
gia, Dania, Islandia, bardziej się
dzisiaj posunęły w cywilizacyi, ni-
żeli niektóre prowincye Hiszpanii lub
Włoch. Rząd ich bardziej jest u-
miarkowany, bardziej ojcowski; po-
jęcie dzielniejsze, bardziej rozwinio-
ne; gminne podania nie tak dziwa-
czne i większą tchnące moralnością.
Cywilizacya więcćj tam wydała po-
żytecznych owoców, mimo niepło-
dności gruntu, dzikićj i starodawnćj
surowości obyczajów, mórż złodo-
waciałych i długiego pasma ostrych
skał i olbrzymich granitów, najeża-

jących samotne ich wybrzeża. W tegoczesném poruszeniu ruchu ludów, narody te postępowały zwolna, rozsądnie, stałym i dzielnym krokiem. Nie obalały tronów, nie niszczyły państw. Wielu terażniejszych wędrowników zwiedziło te krainy. Pożyczymy od nich ciekawych, niekiedy zajmujących obrazów, godnych tego aby zwróciły uwagę owéj południowéj Europy, którój się zdaje że tak znaczne czyni postępy, i niespokojną działalność swoją za nowe poczytuje zdobycze.

Ludy mniej świetne na pozór, większym krokiem posunęły się do prawdziwéj towarzyskości. Szwecya na przykład, używa pomyślności do takiego posunionéj stopnia, jakiego bynajmniej spodziewać się nie można było po jéj dzikim i ostrym klimacie. Grunt złożony z obszernych brył granitu, odzianych lekką powłoką roślinnéj ziemi, przerznięty między-morzami, lub obszernemi jeziorami,

oto cały jój krajobraz; a jednakże smutny ten zakąt, zapomniany od reszty Europy, wzniósł się do bytu daleko lepszego, niżeli go południowe jój części kosztują. Moralnemu ucywilizowaniu swój ludności raczej, niżeli handlowi i przemysłowi, winna ten ogół szczęścia, któren jój wszyscy podróżni przyznają. Przemysł rękodzielniczy zbyt małą tam korzyść przynosi; handel bynajmniej nie ma ruchu i życia. Ale wszystkie sprężyny moralne nie są tam zerwane; znachodzi się jeszcze wiara, ufność, gościnność; lud wydoskonalił się bez zepsucia: nie unosi się ową nienasyconą, nieograniczoną żądzą próżności i zaszczytów, ani szalonymi, uwodzającymi teoryjami, obiecującymi narodom niepodobne do osiągnięcia szczęście, a zniechęcającymi do teraźniejszego stanu.

Bardzo jest przyjemną dla podróżnego, grzeczność niższych klass w Szwecyi, grzeczność, która nie ujmuje by-

najmniej dzielności charakterowi, mocy zdaniu, i niepodległości moralnej. Gdy wiosna wróci w lodowate strefy, gdy fioletowa trawa, cienka powiewna trawa północy, rozściele kobierce swoje po wzgórzach i łąkach Szwecyi, podróżny spostrzeżga zbiegające się do każdej rogatki, po wysypanej drobnym piaskiem drodze, tłumy złotowłosych rumianych dzieci, które z uśmiechem otwierają zaporę i oświadczają wdzięczność za lekkie wynagrodzenie, w ujmujących łagodnych wyrazach. Porównajmy owe nadobne dzieci, z oszpeconemi, zgrzybiałemi, niezdolnemi, hardemi dziećmi, zapełniającemi ulice naszych miast wielkich. Dziedziczne piętno występku i rozpusty, cechuje zwiędłe ich czoła; zestarzały się nie będąc jeszcze dziećmi.

Te obyczaje, które przyjąwszy cywilizacyą, pozostały jednak wieśniaczemi, niezmiernie zajmują i zamieniają w rzeczywistość sielanki poe-

tów. Po wszystkich karczmach i chatach, pułap jest z desek woniejącej sosny. Przyozdabiają go kwiatami; zwyczaj ten zachował się nawet po miastach.

Porządnie zbudowane domy, wszystkie prawie malowane, w których jaśniej porządek i czystość, mile pieścą oko podróżnego; prawda, iż częste pożary zbyt drogo każą okupywać tę zaletę. Wewnątrz zwykle nie ma zbytku, lecz panuje świeżość prawie do powabności zbliżona. Podług dziwnego zwyczaju, którego początek niewiadomy, łóżka szwedzkie są niezmiernie wąskie: są to kanapy, lub raczej trumny, tak tylko szerokie, iż ledwie pomieszczą śpiącego.

Szwecya pełna jest harmonijnych sprzeczności: drogi zakreślone przez wszystkie nierówności gruntu, prawie zawsze starannie piaskiem wysypane, czyste jak aleje angielskiego ogrodu, ukrywają w swych zagięciach co raz zmieniające się obrazy. Za

każdym krokiem przyjemne zadziwienie: tu pochylone głązy, nadające krajobrazowi podobieństwo do utworów Salvatora Rozy. Owdzie, dolina się roztwiera i ukazuje zachwyconemu oku obszerne płaszczyzny jedwabnej zieloności; tu znowu starożytne drzewa chyląc się w sklepienie, w głębokiej ciemności pogrążają wędrowca. Postępujesz wdzierając się na górę, której piaszczysta pochyłość przypomina południową Europę; to znowu spuszczasz się w ciemną i tęskną dolinę, w głębi której zielonawe jezioro, rozciąga martwe fale, po nad któremi chylą się obszerne brzozy, oświecone srebrnym blaskiem słońca téj zimnej krainy. Tak więc okolice, które sama natura zdaje się wydziedziczać, mają jednak piękność swoją, swój blask i wdzięki.

Często napotyka się kształtne domeczki, nagromadzone jedne nad drugimi, jak komórki w ulu; sztachety

czerwone lub zielone otaczają te powabne grupy, lub te wysepki, których budynki napiętrzone jak jagody na winogronie, dziwny dla cudzoziemca przedstawiają widok. W niektórych okolicach Szwecyi, malują domy czerwono; w innych stawiają je na samych wierzchołkach skał. Wejdz do tych chat: wszędzie jaśniej, czystość, nigdzie nie widać zbytku; szanowny biało-włosy starzec, z długą fajką, okolony wonnym obłokiem; śliczne miluchne dzieci, chwytają cię za rękę i całują skoro tylko wejdiesz. Najgłówniejszą cechą owych północnych ludów jest, zupełna spokojność w zwyczajach i obyczajach. Gdy nadejdzie niedziela, zobaczysz gości-niec okryty wieśniakami, w długich błękitnych surdutach, w najbielszej bieliźnie, towarzyszących żonom do kościoła. Żadnej zbytniej żywości, żadnego trzpiotactwa nie widać w ruchu i ułożeniu wszystkich tych osób. Powaga zdaje się im nadawać pic-

tno układności i wyższości; nie nie zbliża się tyle do dobrego tonu, ile spokojność, prostota i naturalność. W karczmach zupełna cichość panuje; dwustu wieśniaków zgromadza się niekiedy, a podróżny odgadnąć nie może ich obecności, gdyż najmniejszy szelest ciszy nie zakłóca. Jeśli przypadkiem zdarza im się upić, to zawsze z równą powagą; nie porównane w sztuce pijackiej, postępują z całą wspaniałością senatorów ważących losy narodu. Stoją z dzbankiem w ręku, w upojeniu poważném, podobniejszém do pracy niż zabawy. Nie lubią tracić równowagi, a szczególnie tego pozoru surowego rozsądku, za granicą którego nie może istnieć powaga podług ich mniemania, gdy już czują że są zupełnie pijani, gromadzą się, wspierając jedni drugich, pijąc ciągle, i stawiając przeciw bachusowym szatałom, połączoną masę własnych ciał i ciężkości.

Wyśmienite utrzymanie dróg, czyni podróż łatwą i nie kosztowną. Ładne małe koniki, szczególniej rasy, kształtne i pełne ognia, unoszą podróżnego. Z szybkością błyskawicy, pną się na góry najspadzistsze. Rzadko potrzebują bicia. Mowa właściwa woźnikom szwedzkim, zależąca na kłaśnięciu ustami i przedłużony szmerze naśladowującym r, r, r, dostatecznie je podnieca. Najmniejszych konie, zwane Helandzkimi, gdyż pochodzą z wyspy Heland, mają ledwie cztery stopy wysokości; podobniejsze są raczej do psów mających kształt koni, niżeli do koni prawdziwych. Widziałem prześliczne koczki dziecinne, ciągnięte temi Lili-puckimi końmi, które zwykle bywają ciemno-jabłkowate. Zwykle przed powozem pędzi goniec zwany Foerbnd, i zamawia konie po drodze. Oddaje pocztmistrzowi kartę drukowaną, z podpisem podróżnego, gdzie wymieniony jest jego tytuł, nazwisko, miej-

sce dokąd jedzie i liczba żądanych koni. Trzeba na przód skreślić plan podróży, a potem nie można go odmienić. Te drukowane bilety zaciągają w rejestra, aby służyły za dowód dla policyi, która rozsyła inspektorów po wszystkich gościńcach, gdy chodzi o jakie śledztwo sądowe. Szwedzi umieją wprawdzie uwalniać się od tego przykrego warunku i wołać czekać na konie, lub brać takie jakie się znajdują, niżeli znosić ów rodzaj przymusu, któremu mniej świadomi lub obcy podróżni ulegają.

Teraźniejszy król, Karól Jan Bernadotte, jak najlepiej urządził całą administracyjną część rządu Szwedzkiego. Nie zmieniwszy bynajmniej wieśniaczego stanu, dziedzicznej prawości, ani prostoty obyczajów, które znalazł w kraju gdzie przybył objąć rządy, starał się udoskonalić wszystkie materyalne sprężyny, bogactwa i pomyślności publicznej. Jest to prawdziwy król polepszyciel.

Mając już lat dzisiaj siedemdziesiąt, Bernadotte, (gdyż lubiemy go nazywać t^{em} chlubn^{em} dla niego imieniem) zachował całą czerstwość dojrzałego wieku. Zdaje się, że jest prawdziwie stworzony na rozkazywanie ludom; orle jego oko, błyszczące ponad garbatym wystającym nosem, co mu nadaje jeszcze większe podobieństwo do tego drapieżnego i tryumfalnego ptaka, bynajmniej nie straciło ognia, jaki go niegdyś ożywiał. Las czarnych włosów, których wiek ubieścić nie śmie, spływa mu na barki; ani jednej zmarszczki nie ma na wyniosłym jego czole, prawdziwie utworzonym do dźwigania korony. Nie posunąwszy się do tego stopnia popularności, którego Francuzi zdają się wymagać, posiada powszechne przywiązanie. Przystęp do niego łatwy; spotyka w przechodzie swoim, twarze szczęśliwe i uśmiechające. Mówi mało, lecz jego przyjacielski i wymowny lakonizm, podoba się narodowi.

Dziwne prawdziwie przeznaczenie człowieka, zrodzonego w południowej Francyi i zbiegiem osobliwych zdarzeń wyniesionego na tron Skandynawski! Gwałtowną gorączkową czynność do której przywykli Francuzi, dzielny wojownik musiał zgiąć do niewzruszouej niczém spokojności i surowej prostoty kraju, któren się rządom jego powierzył.

Najciekawszą do postrzeżeń okolic Szwecyi, jest Dalekarlia, kraina dzika, rzadko tam zabłądzi podróżny, a sami Szwedzi zbyt mało ją znają. Charakter otwarty, śmiały, mocny, siła atletyczna, wielkie uszanowanie dla prawa i urzędników, odznacza Dalekarlczyka. Gdy gubernator przejeżdża, wiedząc jakie miejsca przebywać ma w nocy, najstaranniej oświecają drogę pochodniami. — Dalekarlczykowie są przemysłni, każda prawie wioska posiada właściwy sobie przemysł. J tak, wieśniacy Morry i Ornoesu, robią bardzo ładne ze-

gary; mieszkańcy Hemory słyną z narzędzi żelaznych; Elfeldu robią wyśmienite tkackie płóchy. Chociaż zbyt duża ludność okrywa przestrzeń nieurodzajnego gruntu, któren odmawia im niekiedy najpotrzebniejszych płodów, pracowita oszczędność i wstrzemięźliwość tego ludu, wspiera go mimo surowości natury. Żaden wieśniak dalekarlijski nie potrzebuje szewca, krawca, ani mularza. Każdy sam robi co mu potrzeba: jednakże, gdy nadejdzie tęga zima i nieurodzaj, biedny włościanin musi suszyć i trzeć korę drzew, i przymięszawszy do niej nieco mąki, chleb z niej wypiekać. Wymieniają rozczulające dowody ich gościnności, właściwej pierwotnym tylko ludom. Dalekarlijczyk wychodzący w pole, zostawia na ławeczce przy drzwiach, klucz od spiżarni, ażeby wędrownik w czasie niebytności gospodarza, mógł znaleźć spoczynek

Osobliwy ten lud, szczególną od-

różnia się fizyonomią, świetnym dzikim strojem, niezmiennym o pięciu wieków i zamiłowaniem starodawnych obyczajów, niewłaściwym żadnej europejskiej kranie. Mówi starą Skandynawszczyzną, językiem *Runnów*. Przestawanie obu płci ze sobą, jest tam zupełnie wolne, i tak w wiosce Mora, młodzieńcy i dziewczęta zgromadzają się dwa razy na tydzień w stodole; rodzice nie przewodniczą tym zgromadzeniom. Szczapy smolnej sośniny oświecają ten wiejski salon; dziewczęta tkają i przędą podczas gdy chłopcy rozmawiają; zebranie to późno w noc się przedłuża. Upewniają że małżeństwa w Dalekarlii są najprzykładniejsze, i że ta swoboda bynajmniej nie szkodzi czystości obyczajów. — Roku 1715, mieszkańcy najdzikszego, najnieurodzajniejszego zakąta Dalekarlii, odkryli źródło jeśli nie bogactwa, to przynajmniej dostatku. Biedni ci ludzie, których

zimne nocy, grunt jałowy, skały odarte z roślinnej ziemi, tak często na głód wystawiały, którzy drzewa odzierali z kory, aby wyżywić żony i dzieci, odkryli minę porfiru, której wspaniałe płody po całej rozchodzą się Europie, i zasługują na jak największe upowszechnienie. — Mleczarnie, apteki, fabryki zegarów, powinnyby częściej używać tego materiału, którego twardość opiera się kwasom, gdy tymczasem marmur uszkodza się nie tylko od octu, ale nawet od mleka. Moździerze apteczne, nalewki, wystawy kominków, bardzoby skorzystały, gdyby używano tego kamienia tak świetnego dla oka, tak pięknego przez swój polor i żywe centki, tak wytrwałego na działania czasu i wszelkie gryzące płyny.

Zbrodnia zabójstwa nieznaną jest prawie w Szwecyi; sam widok pistoletów, które europejscy podróżni za niezbędne sądzą w podróży, trwogą przeraziłby całą wioskę. Szwec-

dzi jednakże są z przyrodzenia odważni, grzeczni chociaż prości, bardzo ich dziwi obejście Anglików, którzy od pięćdziesięciu lat jak wiadomo, przejęli się pychą, oziębłością i nieużytością. Podróżny angielski, wchodzący w miejsce publiczne, z nakrytą głową, uważany jest jak dzikie zwierze, niestworzone bynajmniej do towarzystwa. Wrodzona powolność Szweda, zgadza się z tą poważną grzecznością i tą zimną krwią, które go na chwilę nie opuszczają. Małżeństwa zgodne, wielkie zamiłowanie życia domowego, mało hałaśnych uroczystości i załatów, towarzystwa pozbawione ruchu, świeżości i płochości francuzkiej, wystawności, wymuszonej etykiety i zarozumiałej próżności angielskiej; oto są szczególne cechy spokojnej cywilizacji, która chociaż nie przedstawia dramatycznych obrazów namiętności, daje jednak sposobność kosztowania szczęścia i dobrego mienia.

Ta oziębłość obyczajów i temperamentu, wpływa na przeznaczenie kobiet, które jest bardzo dziwaczne w Szwecyi. Pomiędzy gminem, poufałość mężczyzn i kobiet Lynajmniej nie jest uważana za występna nieprzyzwoitość. Piękne wieśniaczki szwedzkie tak są wolne w objęciu, że nie zastanawiający się podróżny mógłby myśleć, że zwiedza lud najbardziej zepsuty na całej ziemi. Kobiety od młodości służą za pocztowych faktorów, kommissantów, pocztylionów, kawiarki i łazienniczki. Przybywasz w nocy na stacyą, młoda płowłoska dziewczyna, z najpiękniejszą twarzą, ubrana leciuteńko, zaledwie mająca czas zarzucić spódniczkę, siada przy tobie w powozie, chwytając za cugle, powoduje końmi i zapuszcza się wraz z tobą w najsamotniejsze lasy. W Sztokolmie, dandy angielski żąda kąpieli: przysposabia ją w jego oczach jedna z owych dziewic północnych. Nadzwyczajna pię-

kność i świeżość młodziuchnej dziewczyny i zupełna obojętność jaką mu okazuje, są dla podróżnego nierozwiązaną zagadką.

W stanie miejskim i wyższych klasach, jak najsurowiej przestrzegają przyzwoitości, zalotność nawet jest rzadką, nadzwyczajna skromność i niezmienna łagodność, znamionuje kobiety Szwedzkie. Szwedki, ze wszystkich niewiast północnych posiadają najwięcej piękności i wdzięków. Wysmukłe i powabne, dalekie są od owiej rubasznosci i ciężkich kształtów, które tak często zachodzą się w kraiach północnych. Kibić ich jest szczupła, przepyszne jasno-blond włosy, płeć dziwnej białości i ruszenie zgrabne, przypomina ułożenie Polek. Wypada dodać, że pospolite kobiety, są w ogóle piękniejsze niżeli damy i mieszcanki. Ten dziwny i podwójny rezultat z jednegoż wypływający źródła, powinienby zająć uwagę filozofa. Szwedki z klas wyższych, żadną

żywszą niezniewolone namiętnością, żadnym potężniejszém złudzeniem, zachowały najdoskonalszą czystość obyczajów. Szwedki z niższego stanu, dzięki tej samej obojętności, nie przywiązują się nigdy do jednego wszechwładnego uczucia, nigdy gwałtownych nie doznają wzruszeń i zachowują ciągle też samą prostotę i łagodność w obejściu.

Sztuka gastronomiczna, chociaż nie doszła do wysokiego udoskonalenia, bardzo jednak jest ceniona, podobnie jak we wszystkich północnych krajach. Nim siadą do stołu, zastawiają na małym stoliczku, okrytym białym obrusem, przedwstępnejadło, zwykle składające się ze śledzi, rzodkwi, kawiaru i zakropione kilku kieliszkami koniaku i rumu. Ich obiad pewnie wyda się dziwny naszym współziomkom. Zupę, która jest zwyczajnie czystym tylko rosołem, dają nie na początku, lecz w środku uczyty; pływają po niej gałązki

kopru i rodzenki. Potém ciągnie się długi szereg potraw, przyprawnych prawie zawsze cukrem. Kładą cukier do rosółu, piwa, nawet sałaty; mięszają go z pieprzem, octem, z każdym korzennym sosem. Południowy Europejczyk, widząc ciągle na stole cukierniczkę, z której nieustannie czerpają, z całej duszy żałuje paryzkich i londyńskich obiadów. Jak gdyby oła wynagrodzenia, jadają w Szwecyi kilka razy na dzień. Życie ich zdaje się być podzielone na stacye gastronomiczne. Budząc się, widzisz przed sobą na małym stoliczku kawę, masło i bułki. O jedenastój, jedzą na drugie śniadanie chleb z masłem, szynkę, kawiar, ryby wędzone lub solone, przytém dają wódkę. Obiad bywa o drugiej. O czwartej przynoszą kawę. O szóstój następuje lekki podwieczorek; nakoniec o dziewiątej wieczerza, której główną potrawą jest piwo gorące ze śmietaną i syropem. Zwyczaj toastów zachow-

wał się w Szwecyi z patryarchalną prostotą. Ile razy jaki biesiadnik pije za twoje zdrowie, musisz także koniecznie wychylić czarę do dna. Tak więc, jak mówił młody Hamlet: »Przypuśćmy że dwudziestu biesiadników, uraczy cię tą grzecznością, znajdziesz się w wielkim kłopotcie, chyba że bardzo jesteś wprawny, a zwłaszcza iż szklanki szwedzkie są niezmiernie szerokie i głębokie.» Pomiędzy mieszczanami, zachowuje się dawny zwyczaj całowania w rękę obok siedzącej damy. Konsumcya mięsa jest daleko większa w Sztokolmie, niżeli w innych mniej ku północy leżących krajach.

Ogromna ta granitowa skała, zaludniona pierwotnie rodem Finów, a przez Germańskie plemiona później ucywilizowana, ta Szwecya tyłu domowemi szarpana niezgody, doszła jednak do wysokiego stopnia pomyślności; rzadko tam widać żebraków. Jest to jedyny kraj w Europie, gdzie lu-

dność miast w stosunku ich obszerności, jest bardzo mała. Na trzech milionach mieszkańców, trzykroć sto tysięcy mieszka po miastach. Może to jest przyczyną dobrego bytu, któren o niemożność obwiniać się zdaje, wygórowaną oświatę naszą.

W Szwecyi nie ma ani śladu téj organizacyi gminnej, która owładnęła Anglią; nie masz tam żebractwa, które rozkazuje, wymaga i niszczy, ludność, mniej szybko zwiększająca się jak w krajach ciepłych, dochodzi nie znając prawie chorób, do późnej starości.

Klima surowe i łagodne zarazem, osłonięte łańcuchem, a raczéj wałem gór otaczającym Szwecyą, nie odznacza się tą siłą żywotną i roślinną, właściwą południowi; cechuje go pogoda prawie ciągła, czysta atmosfera, której prawie nigdy piorun nie wstrząsa, miły blask słońca, udzielający rolnikowi szesnaście do ośmnastu godzin do pracy. Zima, zaczyna się wła-

ściwie w Grudniu; już tęga w samym początku, przedłuża się do pierwszych dni Kwietnia, czasami Maja a nawet i Czerwca. Zaledwie pierwszy wiosniany powiew skruszy lodową powłokę, którą ziemia była okryta, roślinność nagle się ukazuje: wszystko się w mgnieniu oka przeistacza. Długo uwięzione wody, lecą z szumem i bystrością; sok gwałtownie wbiega w gałązki, przekształca się w liście, potem w kwiaty. Piękna jesień, odznaczająca się wspaniałym i dziwacznym odcieniem widoków horyzontu, następuje po szybkiem, lecz niezmiernie gorącym lecie. Gdy zima wróci, przemysł któryś niczego nie zaniedbał aby srogość jej złagodzić, chroni wieśniaka, również jak miast mieszkańca, przed dokuczającym mrozem. W krajach umiarkowanych, zbyt mało zadajemy sobie starań, aby ubezpieczyć się przeciwko jej napaści. Dom Szwedzki tak jest zbudowany, iż może stawić spór najtęższemu zimnu;

wszystkie okna szczelnie się domykają, drzwi pasują jakby wieczko najstaranniej zrobionego pudełka; długie rury okrażając wszystkie piętra wszystkie ściany pokojów, łagodne i ciągle rozlewają ciepło; podłogi są podestłane mchem, okna za zwyczaj podwójne. Uważano jednakże, iż temperatura Szwecyi, bardzo się zmieniła od jakich lat dwunastu.

Uwagi te stosować się jednak mogą do części umiarkowanych téj krajiny, leżących po téj stronie rzeki Al-lelfwren; na północnym jéj brzegu, znajduje się sześć prowincyi wydzielczonych od natury, których mieszkańcy muszą nieraz zbierać zboże jeszcze zielone, z obawy ażeby mrozy całkiem nie zostawiły ich bez pożywienia. Im dalej ku północy, tém bardziej zmniejsza się roślinność; warzywa, konopie, len, tabaka, drzewa owocowe, nikną za każdym stopniem jeograficznym; drzewa prrzydziejewają się grubszą korą, biel ich staje się

ściślejszy. Na północnym przylądku, ziemia przedstawia okropną niepłodność: zaledwie kilka ziółek czepia się po nagich skałach. Kartosle i kapusta, rośliny tak wytrzymałe, zaledwie znachodzą dla siebie dostateczny żywioł do rośnięcia. O jeden stopień ku wschodowi, od północnego przylądka, znajduje się osobliwa twierdza Wardhus, najbardziej posunione ku północy stanowisko wojenne. Trzydziestu Norwegczyków, którzy ją zajmują, nie widzą zachodu słońca od 21go Maja do 21go Czerwca. Ten dzień jedno miesięczny, zastępuje za to noc ciągnąca się przez półtrzecia miesiąca: zaczyna się 15 Listopada, a kończy z ostatnim dniem Stycznia. Prawda, iż zorze północne, połyska niekiedy na widokręgu, krwawym płomiennym sztandarem i zastępuje dobroczynną jasność słońca.

Jużeśmy wspomnieli, jak łatwo i prędko odbywają podróże w północnych krainach. W Finlandyi nawet, za-

dziwisz się widząc, jak jedenastoletnie dziecię kieruje małemi konikami, z największą zręcznością pędzi przez drogi które byłyby bardzo niebezpieczne, gdyby je nie tak doskonale utrzymywano. Powóz toczy się i przeskakuje z doliny w dolinę, z góry na górę, ze skały na skałę, przez tysiące najkrętszych drożyn; liczne drewniane mosty, tętnią pod jego szybkim biegiem, a trójka słucha głosu młodego przewodnika. Dzięki téj łatwości podróŜowania i staroŜytnéj goŝcinności ludów północnych, mamy wyŝmienienie opisy teraŝniejszej Szwecyi, Norwegii, Danii, i Islandyi.

Obok bogatych i tak dokładamente wydobywanych min, obok rolnictwa, które przewycięŜyło niepłodność gruntu i ostrość nieba, dziwną jest rzeczą widzieć przemysł jeszcze w kolebce, stosunki handlowe bardziej ograniczone, niŜeli wewnętrzna pomyślność kraju obiecywać się zdaje, ŝe glugę wprowadzie kwitnącą, lecz któ

ra daleko bardziej powiększyćby się mogła, gdyby handel i przemysł krajowy, otrzymały rozwinięcie. Szwed jest wybornym majtkiem i żołnierzem. Szwedzki żeglarz bywa zwykle wstrzemięźliwy, niespracowany, karny, spokojny, oszczędny, śmiały; burzliwe fale rozbijające się o piaszczyste wybrzeże, na którém wznosi się rodzinna jego chata, od urodzenia obijały się o jego ucho; od urodzenia oko jego nazwyczało się do groźnych bałwanów. Z natury bitny, Szwed z chlubą przypomina zwycięztwa Gustawa Adolfa i Karóla XII.

Pod wielu względami, a szczególnie co do moralności, przemysłu i odwagi, Dania i Norwegia bardzo zbliżają się do Szwecyi. W Danii szczególnie, wykształcenie ludu wielkie uczyniło postępy; a co najszczególniejsza, że lud ten przyjąwszy oświatę, zachował pierwotną prawość i prostotę. Jeśli wierzyć można podróżnym, Norwegia nie do-

szła jeszcze do tak wysokiego stopnia cywilizacyi; surowość i dziwactwo natury, zdają się wprowadzić nieprzetamaną stawiać zaporę. Nic ciekawszego jak opis podróży z Chrystyanii do Dronthejmu, odbyty niedawno przez pewnego Anglika. Aby odbyć tę drogę, trzeba przebywać następnie innóstwo *fjordów*, czyli międzymórz otoczonych przepaścistymi góry.

»Opuszczając Chrystyanią — mówi — kupiliśmy zgrabny i leciuchny koczyk, który i tu nawet zachował swoje francuzkie nazwisko i zowie się karyolką; musieliśmy potem nająć szalupę, na którą wtoczyliśmy nasz powóz; pięciu ludzi za małą opłatę podjęło się przewieść nas przez Sogne-Fiord. Szalupa miała kształt dziwaczny, lecz przyjemny oku; pierś i tył statku zupełnie do siebie podobne, były kończaste i o kilka stóp wystające po nad wodę; rudel wchodził wewnątrz szalupy i trochę przeszkadzał prze-

wożącym się. Wyruszyliśmy; przewoźnicy odznaczający się atletyczną siłą, dzielnym ramieniem zagrażyli szerokie wiośła w wodach Fiordu. Po dwugodzinnej przeprawie, zatrzymali się w prost. pieczary, do której wysiedliśmy. Tam posililiśmy się przywiezioną żywnością.

»Fiord, jest to odnoga morska, która przedzierając się przez skały, przenika w ich rozpadliny, zapełnia nierówne łożysko, nie zatrzymując się aż wtedy, gdy nieprzezwyciężoną znajdzie przeszkodę. Nie podobna dać wyobrażenia rozmaitości widoków, jakie przedstawia przeprawa fiordu: otaczające wzgórza piętrzą się stopniami, zmieniają się w spadziste opoki, i wznoszą nakoniec w okółto, olbrzymie masy stromych szanów, z wierzchołka których liczne spadają kaskady. Nagle mur ten się ścieśnia i zamyka wędrowca w swoich kamiennych ścianach; szczyty ich szerokie rozściełają cienie, zakrywają ca-

ły widok prócz wąskiego kawałka nieba i wody po której łódka się sunie. Niekiedy w łęk się zaginają i podróżny wpływa pod ciemne sklepienia, z kąd z biciem skrzydeł tyśiące ptaków wylata. Ta zmiana widoków i położenia, jest prawie nieskończoną: niekiedy przepływa się pomiędzy dwoma wysokimi wybrzeżami, wyciosanemi jak kanał; dalej, wąskie to łożysko rozszerza się i obszerna przestrzeń błękitnej wody, spokojna i czysta jak jezioro genewskie, rozwija się przed zachwyconém okiem; zdala ukazuje się wąskie, ciemne przejście, które przebydź koniecznie potrzeba, a łódka z jasnego jeziora wsuwa się pomiędzy długie ściany, na 5,400 stóp wzniosłe.

»Rozkosz téj malowniczej przejażdżki byłaby dla nas [daleko żywszą, gdyby przenikliwe promienie słońca, odbite o skały i wodę, nie padały na nas prostopadle. Ani technienia wie-

trzyku, ani jednéj zmarszczki na wodzie; upał ten był nieznośny i z bolesną rozpaczą wznosiliśmy oczy, ku lodowatym gór szczytom, gdzie się od wieków nagromadziły stosy śniegu, a których chłodząca świeżość przeniknąć do nas nie mogła.

Rzadka ludność rozsypana po skałach otaczających fiordy, wiedzie życie również dzikie i dziwaczne jak opisany krajobraz. Mężczyźni noszą krótkie katanki, szerokie pantalone, i małe czerwone czapeczki, bardzo podobne do greckich jarmułek. U skurzanego pasa wisi nóż wielki: narzędzie nieodbicie potrzebne, do wielorakiego użytku. Butler w swym Hudybrasie, żartuje ze swego bohatera, iż zażywał tegoż samego oręża na krąkanie séra, zabicie wroga i ociosanie pnia. Chłop szwedzki, umie jeszcze bardziej urozmaicić pożytek noża; tém jedyném narzędziem wyrabia stołki, zaprzęgi, osie i koła. Jego naczynia

stołowe, sprzęty, kufrы, robione są nożem. Nie mogąc nigdzie znaleźć potrzebnych przedmiotów, musi, nowj Robinson, sam wykonywać wszystkie rzemiosła, lub je raczej tworzyć. Podobnież jak wieśniak Dalekarlijski, jest zarazem cieślą, kowalem, tkaczem, powroźnikiem, krawcem, szewcem, stolarzem, kołodziejem, stelmachem. Wszystkie te wyroby nie świadczą wielkiego przemysłu, lecz są bardzo trwałe; niektóre zdobi rzeźba, jakiejby się artysta nie powstydział. Niektórzy wieśniacy Norwegscy, w wolnych chwilach samotności i dzikiego życia, do wysokiego stopnia posunęli wyrzynanie z drzewa: nie są to już robotnicy, lecz artyści.

Pewnego dnia, gdy Chrystyan V. zwiedzał Drontheim, młody pasterz którego spotkał po drodze, wziął kawał drzewa i nóż i na prędcę wyrobił popiersie monarchy, niezgrabne może, lecz tak podobne iż go wszy-

scy poznali; do dziś dnia zachowano je w muzeum królewskiem, jako ciekawą osobliwość.

Drontheim, któremu niektórzy podróżni i krajopisarze chcą wydrzeć właściwe miano, zowiąc go Trunyem, Tronyem, Trondhiem, lub Drodhiem, jest miasto osobliwe, mało znane, prostych obyczajów, którego najciekawszą osobliwością jest katedra gotycka, jeszcze z jedenastego wieku.

Zadziwiłem się, znalazłszy w tém północném mieście, szpital, dom zarobkowy, bibliotekę publiczną, muzeum, szkołę publiczną i kilka szkółek na wzór Lankastra. Każden dom choćby najbiedniejszy, posiada bibliotekę i psalterz. Zbrodnie mało tam są znane, a co dziwniejsza, nauka języka angielskiego bardzo upowszechniona. Czytają w Drontheimie gazety angielskie, i mocno zajmują się sporami parlamentu.

STAROŻYTNE I TEGOCZESNE MIASTA

PÓŁWYSPU IBERYJSKIEGO.

(z angielskiego.)

W pośród obszernój i uśmiechają-
cój się równiny, w głębi niewielkiój za-
toki, wznosi się Barcelona z lasem
dzwonnice i wałami swojemi; ma po
jednej stronie wyniosłą twierdzę Mont-
jouy, a po drugiej cytadellę. W przy-
stani kołyszają się niezliczone maszty
i z głębi wód wystaje małe miasto,
którego białe i różowe domy, odbija-
ją się od szarój barwy murów stoli-
cy Katalonii: jest to Barceloneta
zbudowana na wązkim przesmyku zie-
mi, główny skład handlowy, miesz-
kanie wszystkich osób należących do

żeglugi. Barcelona ze sto dwudziestą tysięcy mieszkańców, czynnych, pracowitych, przemysłnych, godna jest pod wszelkiemi względami być stolicą Katalonii. Prócz historycznej sławy, stała się dzisiaj bardzo ważną dla handlu, mieszcząc w sobie wszelkie kunszta, wszelkie rodzaje przemysłu.

Nie wiele znakomitych pomników wskazuje potomnym wspomnienie dawniej świetności Barcelony, pamiętnych oblężeń które wytrzymała, wielkich czynów których była widownią. Oto pałac Medina-Coeli, gdzie złożone są królewskie archiwa Aragonii, *el Palacio*, ratusz, dawna rezydencya domu książąt Alby. W ogólności, jak się zdaje, architekci nie wiele się trudnili wyborem miejsca na znakomitsze budowle; lecz zatrzymawszy się na grobli, można ogarnąć jednym rzutem oka główne pomniki zdobiące Barcelonę, od Puerta-Real aż do Rambla, a które są niejako godłem potrójnej potęgi, wydzierającój sobie

najwyższą władzę. *Lonja*, obszerna budowa przeznaczona na kupieckie zgromadzenia, wspaniały gmach komory celnej z marmurową wystawą, i grobla portowa, olbrzymie dzieła wzniesione ze szczątków góry, wyobrażają handel. Klasztor *Merced* założony przez świętego Franciszka, wieże kościoła świętej Eulalii, zwaliska trybunału inkwizycyjnego, tysiące kopuł wzbijających się tu i ówdzie w obłoki, świadczą o władzy duchownej. Pałac gubernatora, armaty i bagnety błyszczące na szczytach *Montjoui*, dowodzą wymowniej niżeli proklamacye, że rząd bynajmniej nie myśli wyrzec się najwyższej władzy.

Barcelona posiada akademie, kolegia, amfiteatra, biblioteki; nie miałem odwagi zatopić się w uczonym ich pyłe; zostawiam także komu innemu opis śmiałych sklepień świętej Eulalii i ponurą głębię jój kaplic. Lecz zwiedziłem *Sarrię*, wioskę rozkoszną,

której ogrody i zwierzyńce po dwa-
kroć widziały artyleryą francuzką,
wymierzającą działa swoje ku Barce-
lonie. Gdym je przebiegał, czas zatarł
już ślady tego podwójnego napadu.

Od roku 1820, Sarria stała się u-
lubioném miejscem mieszkańców Bar-
celony; tam większa część ludności,
znalazła schronienie przed żółtą fe-
brą. Od tego czasu, czy to przez
wdzięczność, czyli też że lepiej u-
miano ocenić urok świeżych zacieni
jój pomarańczowych gajów, jój jāsmi-
nowych płotów, wszystko co żyje
odbywa na wiosnę pielgrzymkę do
tego miasteczka, tak przyjemnie po-
łożonego na pochyłości pagórka. Ka-
talończykowie są wielkimi wsi mi-
łośnikami; lubią upiększać ziemię,
zasadzać plantacye: zamożniejszy Bar-
celończyk nie sądziłby że jest szczę-
śliwym, gdyby nie miał swój *torre*.
Torre, jest miejscem wytchnienia, sie-
dliskiem pokoju, Edenem kupca; jest
to *villa* Neapolitańczyka, *bastida* Mar-

syliczka, dom wiejski mieszkańca Londynu. Jakże przyozdabiają tę kochankę! z jakowym zbytkiem ją stroją w dniach uroczystych! Lecz też i ona nigdy nie zawodzi i zawsze uśmiechem odpłaca starania i pieczyoty właściciela.

Nie zdołam wydać wzruszenia jakiego doświadczyłem ujrzawszy po raz pierwszy Mont-Serrat, górę odosobnioną na szerokiej płaszczyźnie, wznoszącą się przeszło trzy tysiące stóp nad poziom morza; jest to nagromadzenie pagórków, zbiór ostrosłupów, pęk piramid rozmaitej wielkości. Obłoki wieńczą jej wierzchołek, przesuwają się z piramidy na piramidę, zniżają się niekiedy aż do stóp samych. Widok Mont-Serratu jest poważnym, uroczystym, tajemniczym, Gdyby ją znali wieszczę greccy, byłiby z niego zrobili Olimp; gdyby się znajdowała w pustyni Arabii, Mojżesz byłby ją obrał do ogłoszenia tablic prawa; nie dziwić się, że chrześcijanie

zrobili ją miejscem wielkich tajemnic wiary. Ziemia roślinna rozrzucona po niektórych częściach góry, jest niezmiernie żyzna i coraz ku wierzchołkowi żyzniejsza.

Skały, z których składa się ta góra, są z kamienia wapiennego rozmaitych kolorów i białego kwarcu w żyłki czerwone.

Klasztor Mont-Serratu jest poważnym mieszkaniem, lubem siedliskiem; wszystko tam usposabia duszę do myśli religijnych; wewnątrz jest obszerne, a skromna powierzchowność zgadza się najdoskonalej z dzikimi widoki otaczającymi budowę. Kościół jest wielką nawą, której mury i sklepienia zdobią malowidła i złoczone arabeski. Posąg Madony jest z czarnego drzewa, jak zwykle we Włoszech, bogato przybrany, strojny we wstęgi, naszyjniki, drogie kamienie, słabe szczątki ogromnych bogactw, które posiadał niegdyś skarbiec Mont-Serratu. Dowiedziałem

się przypadkiem, że sławny Ignacy Lojola mieszkał w jednéj z pustelni, umieszczonych na szczytach licznych ostrośłupów wznoszących się w okół klasztoru. Ciekawość zwabiła mię do téj celi, w której powstały pierwsze natchnienia owego męża, założyciela potężnego towarzystwa, co przez dwa wieki tak wielką wywierało władzę na całą Europę. Rogoża, dwa stołki i kilka prostych narzędzi, oto są wszystkie sprzęty jego pomieszkania. W tém ciasném, wilgotném, ciemném ustroniu, nic duszy nie wznosi; lecz gdym wyszedł z celi, okazały widok ujrzałem. Był już wieczór, słońce ostatnimi promieniami złociło niektóre części góry, a ich świetną barwę jeszcze bardziej podwyższały tu i owdzie rozrzucone cienie. Chmury osiadać zaczynały po najwyższych szczytach; jastrzębie odzywały się ostrym krzykiem, obszerne zakreślając koła; echa podawały sobie zwolna pieśni pielgrzymów, a dzwony

wszystkich pustelni, odpowiadały jedne drugim, zwiastując modlitwę i spoczynek. Co za wspaniałość! co za zgodność! co za różnaitość! w tych obrazach tak prostych, tak naturalnych!

Tarragona przestała być wspaniałem miastem. Zadziwiwszy świat, zachowała tylko sławne imię z całej starożytniej świetności. Było to pierwsze miasto w Hiszpanii, jedno ze znakomitszych cesarstwa rzymskiego, *stolica Pretora*. Wszystkie przepyszne budowle, któremi ozdobił ją lud ten wielki, już nie istnieją. Artylerya francuzka pochłoneła to co wieki oszczędziły. Ścieśniono jej obwód; małą liczbę starożytności dochowała; zaledwie widzieć się daje kilka odłamów muru w proch się rozsypujących. Szczątki pałacu Augusta, zwaliska amfiteatru, gruzy jakiegoś pomnika grobowego, a w pośród nich mnóstwo mniichów i księży, jedynie uwagę moją zwróciły. Lecz nie opuszczajcie Ka-

talonii, ciekawi wielbiciele nadzwyczajności, nie zwiedziwszy pierwój kopalni soli w Kardonie, gdy o wschodzie słońca, pierwsze promienie odbijają się o jój różnobarwe skały. Tortoza zajmuje nas jedynie wspomnieniem bohaterek, które dzielnie przeciwko Maurom walczyły. Opuśćmy Vich i Cerwera, Salsonę i jój ponure szczyty; zapomnijmy o Gironie, mieście zakonném, aby powitać zimne popioły królów Arragońskich. Klasztor Poblet wybrano na ostatnie królów schronienie. Alfons IIgi, Jan Iszy, Matylda d'Armagnac i jój córka, Jan IIgi, królowa Joanna, Marya Arragońska, Jakób Iszy zwany Zdobywca i trzy jego żony, Piotr IV, Ferdynand i dwanaścioro jego dzieci, spoczywają pod wspianiałemi marmury.

Na południe Katalonii leży królestwo Walencyi, najmniejsza z Hiszpańskich prowincyi, a jednak najbardziej zaludniona. Gwadalamiar, Xu-

kar, Segura, skrapiają jój płaszczyzny i wyziewem wód swoich łagodzą gorącość atmosfery. Klimat Walencyi bardzo się zbliża do klimatu Grecyi: chodują tam korzystnie drzewa oliwne, morwy, palmy, słowem wszelkie zwrotnikowe rośliny. Temperatura tak jest łagodna, że nigdy nie spada poniżej trzech. Walencyjczycy z upodobaniem oddają się rolnictwu; znają sztukę skrapiania gruntów; góry przeznaczają na pastwiska, a doliny na obszerne plantacje ryżu.

Na łonie obfitości, pod niebem zawsze czystém, lud ten ukazuje się zwracającemu nań uwagę cudzoziemcowi, wesoły, płocho, wielki miłośnik rozkoszy i zbytku, niedbały o interesa publiczne; czynny gdy idzie o korzyść własną, aż do mocnego natężenia. Walencyanin czuje nie wymowny pociąg do wszystkiego co błyszczy, uderza, zadziwia. Długo wiara chrześcijańska i jój wspaniałe obrzędy

były wyłącznym przedmiotem jego miłości; dzielił potem z zapalem uwielbienie jakim Hiszpania uniosła się ku ministrowi Godoy i prawie nagle zwałił to bożyszcze, niosąc wielką cześć wielkości Napoleona: utudzenie trwające chwil kika, a którego utrata tak była straszliwą dla nieszczęsnych Francuzów zamieszkałych w Walencyi. Gdy poznano prawdziwe zamiary Napoleona względem Hiszpanii, Baltazar Calvo, na rozkaz Junty udaje się do Walencyi, oznajmia przywłaszczenie Cesarza, podburza w kilku godzinach pospólstwo, które korzystając z nocnej pory rzuca się na Francuzów mieszkających w mieście. Nie przedłużyło się okropne to obłąkanie, dzięki charakterowi mieszkańców. Za nadejściem dnia, przejęci litością, przepiknieniem, żalem, zabójcy wybyli nieszczęśliwych który uszli ich wściekłości, zanieśli do szpitala, i sami opatrywali rany przez siebie zadane. Oto rys,

po między tysiącem innych charakteru Walencyjskiego.

W kilka lat później, Walencyanie nowe wznosili ołtarze, nowemu bóstwu palili ofiary... Marszałek Suchet, przez administracyą raczej zręczną niżeli nieskazitelną, zjednał sobie miłość tego łatwego ludu. Skoro się ukazywał publiczności; tłum cisnął się w około niego, witając licznemi okrzyki; mulnicy nawet w swoich segadillach przesyłali potomności imię sławnego marszałka. Ferdynand wróciwszy z niewoli, znowu zyskał nie wyczerpane uwielbienie Walencyjczyków; głośnie oklaski przyjęły go w przejeździe i mieszkańcy Walencyi złożyli mu oświadczenia najpokorniejsze zupełnego poświęcenia i wierności; dzisiaj znowu Izabella żyje we wszystkich sercach.

Wspomnienia historyczne téj prowincyi, są bardzo mnogie i daleki sięgają starożytności. Była teatrem woj-

ny punickiej; Kartagińczykowie przy-
jęci pięknością klimatu, osiedli
w Walencyi, a jeden ze Scypionów
odprawił do niej wjazd tryumfalny:
Pod Gotami i Saracenami, Walencya
miała własnych królów; lecz gdy
wojsko kastylijskie raz na zawsze
wygnało te ludy, Cyd założył w niej
stolicę swego państwa. Od roku 1808
do 1813, Marszałkowie Moncej, Lan-
nes i Suchet, obierali ją kolejno za
miejsce rezydencyi. Walencya jest
w istocie zachwycającem miastem;
zbudowana po nad brzegami Gwada-
wiaru, zdaje się kąpać niejako w nur-
tach rzeki, a otaczająca ją okolica,
bogata i dobrze uprawna, podobna
jest do obszernego ogrodu. Dziwi-
łem się niekiedy przy cichym poran-
nym brzasku, czystości nieba, pię-
kności krajobrazu, zwiększonej je-
szcze tysiącem powabnych i oryginal-
nych budowli; gdyż tutaj prosty
mieszczanin kształtnie dom swój bu-
duje, zdobi go balkonami, malowić

dłami, posągami i robi na nim tarasy jak w Medyolanie. Wśród tego spokojnego rozważania, brama Serranos, z ośmiobocznemi wieżami, dawny zamek królewski, *Lonja* zbudowana za czasów Ferdynanda Katolickiego, Kościół *la Real* najeżony w kopuły, wieże, piramidy, nie raz oczy moje na siebie zwróciły.

Lecz niechaj te świetne obrazy nie przeszkodzą nam rzucić w przechodzie spojrzenia na Sagunt; na to miasto niegdyś tak piękne i kwitnące, sprzymierzeńca Rzymu, śmiertelnego wroga Kartagińczyków; Sagunt, którego mieszkańcy po ośmio miesięczném oblężeniu, zagrzebali się pod zwaliskami swego miasta. Sagunt wytrzymał kilka oblężeń, był zrabowany, spalony, rozburzony, lecz w chwili gdy mniemano że się zagrzebał pod gruzami, odradzał się z własnych popiołów. Gotowie nazwali go *Murwetum*, z powodu starości jego murów. Dziś go nazywają *Murwiedro*; nieszczę-

śliwe to miasto, nie zachowało nawet miana, pod którym zjednało sobie tyle sławy! Tak dziwaczne są zmiany losu! Sagunt jest dzisiaj źle zabudowany, ulice jego są kręte i niebrukowane; potracamy co chwila stosy kamieni, odłamki kolumn, szczęty wystaw, uszkodzone posągi. Biedny Sagunt! Tu zwaliska jakiejś nieznanéj budowy, tam świątynie Dyanny lub Wenery, tu *Puerta de los tres Castellos*, tam wieża Herkulesa; wszędzie echo powtarzało odgłos mých stąpień. Przykry był to dla mnie widok, gdy przebiegał okiem z wierzchołka cytadelli, te miejsca tak puste, które były teatrem dzieł świetnych. Podobnież jak gdzie indziej, religija owładnęła wszystkie zwaliska; zatknęła krzyże na murach cyrku, którego rozlegał się niegdyś oklaskami tłumu, krzyże na hipodromie gdzie tyle padło rumaków, gdzie tyle wozów wiatry wyścigało, gdzie tyle poległo szermierzy!

Trzymając się dzikiego łańcucha gór, ciągnących się ku morzu, przybyłem do Benikası przy jeziorze i zamku Almenara, niedaleko od *deserto de las Palmas*, wybrzeża od dwóch wieków napełnionego rozbójnikami. Śpiesznie uciekłem od tych skał, tylokrotnie zbroczonych krwią wędrownika, wolałem przebiegać uśmiechające pola otaczające Lyrią, która zachowała wspomnienie Sertoryusza, błądzić po nad brzegami *Rio-Blanco*, lub mierzyć malowniczą kaskadę téj rzeki przy Chulilla. W błędnym tym obiegu, przebyłem tysiąc rozpadlin, na tysiączne wdzierałem się skały; nakonieć utrudzony, zgłodniały, przyszedłem błagać gościnności w klasztorze *Porta-Coeli*. Nigdzie nie znalazłem gospody, któraby porównać można z tą kartuzią: usłużne starania, stół dobrze zastawiony, delikatne wino, wszystkiego tam było do zbytku...

Klasztor *Porta-Coeli*, wznosi się na

małej wyniosłości otoczonej górami. U stóp tych brył poważnych, rozwija się grunt uprawny, zasadzony kwiatowemi krzewy. Pola, winnice, łąki, sady, ogrody, wszystko to uprawiane jest ręką zakonników, wśród których często napotkać weterana z wojska jenerała *Castanos*. Zakonnicy orzą, żną, koszą i pasą trzody. Zadziwia i zajmuje obraz tych mnichów, ogorzałych, czarnobrodych, odzianych w długie białe suknie, rozproszonych po polach i odbywających najtrudniejsze prace. Wnętrze klasztoru jest przyjemne, ale wygodne, budynki kształtne. W *Porta-Coeli* znajduje się cmentarz pod gołym niebem, rzecz bardzo rzadką w Hiszpani. W pośrodku gajów z palm i oleandrów, zakonnicy wybrali miejsce na groby swoje. Nie masz tam pysznych pomników, kłamliwych nagrobków; nieco darniny, dwa lub trzy krzewy, zdobią jedynie grób nieznany samotnika.

San Filippe jest to Satabas Rzy-

mian i Xatiwa Gotów. Gdy ją Filip Vty podbił roku 1706, przybrała nazwanie, które dotąd nosi. Jest to ojczyzna malarza Ribeira, przezwanego Espagnolet i cnotliwego Kalixta III. Po nad brzegiem morza, oto Denia, która służyła za punkt rozpoznawczy starożytnym żeglarzom; dalej Kalpea i Banos de la Reyna, Vilajoyosa i wieża Świętego Jozuego; Alikant, gdzie jeszcze rosną siedmioramienne palmy i olbrzymie aloesy, Elche, bogatsza w palmy niżeli Syrya i Palestyna, Kandya gdzie ziemia nigdy nie spoczywa, наконец Orichuella, gdzie trzcina cukrowa i ananasy dojrzewają pod gołym niebem.

Zbliżałem się ku Andaluzyi, ulubionemu pobytowi Maurów, ziemi płodnej, którą przerzyna Gwadaleta, Xenil, Daro i piaskozłoty Gwadalkiwir. Rzuciwszy okiem na topografią téj krainy, łatwo sobie wytłumaczyć jak niezliczone przeszkody przewyciężyć musieli Kastylczyko-

wie, ażeby wygnać Maurów z téj prowincyi, zabezpieczonej w około spadzistemi górami Sierra-Moreny. Dosyć było stoczyć odłamy skał zwierzchołka tych gór, ażeby zatrzymać i zgromić najliczniejsze wojsko. Dziś, wszystkie te przepaści, wszystkie te jary, stały się schronieniem rozbójników.

Sierra-Morena, której południowe garby wznoszą się nagle po nad płaszczyznami Andaluzyi, przedstawia od strony północnej łagodną pochyłość, łączącą się z wyniosłym gruntem Man-szy i Estramadury. Północny pas tego łańcucha, składa się z gór znokrąglonych, na których dziwno jest nie-
napotykać najmniejszego śladu owych gęstych lasów, któremi wyobraźnia pokrywa zwykle góry samotne. Widziane zdala, wydają się nagie i niepłodne; za zbliżeniem dopiero postrzegamy że są przyrodziane szczególniejszym gatunkiem rozłożystych krzaków, któremi zarasta prawie połowa

gruntów Estramadury. W Maju, miniaturowe te lasy, zmniejszają smętność właściwą tym górcom. Od strony południowej, po nad brzegami Gwaldakwiwiru, napotyka się tu i owdzie bukiety dosyć rosnących sosen, które jednakże nie za długo znikną ze szczętem. Gwałtowny pożar, pochłoniął lat temu kilka, większą część lasu; lecz niedbalstwo, lub raczej wstrętu ku tym użytecznym płodom, tak są wielkie w Hiszpanii, iż to nieszczęście za ledwie ślad pozostawiło w pamięci mieszkańców tych okolic.

Kopalnie w Almaden, leżące w prowincyi Manszy, przy wspólnej granicy Estramadury i Korduby, przedstawiają rozwinięcie przemysłu tak znaczne, jak najznaczniejsze kopalnie Harren, Saxonii i Węgier. Znam ją od czasów najodleglejszej starożytności, gdyż podług Pliniusza Grecy korzystali z nich na siedemset lat przed naszą erą, a Rzymianie wydobywali z nich 100,000 cetnarów cynobru ro-

cznie. Od roku 1827, tak je urządzo-
no, iż wydają corocznie 22,000 cen-
tinarów żywego srebra. W téj po-
rze roku, gdy praca w największym
jest ruchu, 700 ludzi pracuje we-
wnątrz, a 200 zatrudnia się zewnę-
trznemi robotami i przewozem.

Korzyści jakie przynosi robotnikom
wydobywanie tych min, okupione są
kosztem wielkich ofiar; merkurjusz
ma najokropniejszy wpływ na zdro-
wie górników i przykro jest widzieć
zapał z jakowym młodzień pełna sił
i zdrowia, doprasza się aby jęj dozwo-
lono nabawić się w tych kopalniach
ciężkich chorób, a często zawczesnej
śmierci. Górnicza ludność Almade-
nu, zasługuje na największe zajęcie;
zbiera się po większej części z wio-
sek Manszy, Estramadury a nawet i
Portugalii, której mieszkańcy tłuma-
mi przychodzą szukać zatrudnienia
w przerwie prac rolniczych. Malarze
obyczajów, którzy tak często hań-
bili Hiszpanów zarzutem lenistwa,

musieli im się przypatrywać w pobliżności miast wielkich, gdzie zwykle nędza i żebractwo upadła człowieka, tutaj by znaleźli, na ostatnich stopniach skali towarzyskiej, lud czynny i pracowity, który zachował całą siłę zdobywców Świata-Nowego, a który posiadać będzie wszystkie cnoty obywatelskie, skoro tylko oświata zaróđ ich rozwinie.

Droga z Almadenu do Korduby jest smutna, jednostajna, uczęszczana tylko przez mulników, utrzymujących związek pomiędzy temi miastami. — Korduba, za czasów Maurytańskich była stolicą kalifatu, leży w jak najszczęśliwszém położeniu na prawym brzegu Gwadalkwiviru, u stóp spadzistej pochyłości Sierra-Morény, tam gdzie zaczyna się płaszczyna, ciągnąca się daleko na lewym brzegu rzeki. Dzieje tego miasta składają się z samych rokoszów i wojen domowych. Abderam przybrał tam tytuł Emir-al-Mumerim, czyli rządcy wier-

nych; on! to najpierwszy z Kalifów
zatknął na jój murach sztandar Ma-
chometa. Po długim szeregu królów,
inny Abderam zbudował wodociągi i
inne pomniki służące do użytku pu-
blicznego; pozakładał akademie, kol-
legia, konserwatoria muzyki i malar-
stwa. Korduba stała na czele cywi-
lizacyi, a Toledo, Grenada, Sewil-
la, podległemi były jój królom.—
Odniósłszy zwycięztwo na równinie
Narbońskiej, nad Francuzami i Ka-
styleczykami, Jsseu poświęcił łupy
zabrane na nieprzyjaciela, na ukoń-
czenie owego meczetu, który stał
się podziwieniem wszystkich wieków.
Świątynia ta wzniesiona jest pośród-
ku ogrodu gęsto zasadzonego drze-
wami, pomiędzy któremi odznaczają
się palmy, pomarańcze i cedry, wo-
dotryski obficie dodają wody, a na
czele świątyni wznosi się czworo-
graniasta wieża, uwieńczona basztami.
Wokoło są gzymsy cudownej robo-
ty. Środek składa się z trzydziestu

ośmiu naw; wspartych na ośmiuset pięćdziesiąt czterech kolumnach. — Jest to jak gdyby las drzew olbrzymich. Większa część tych kolumn jest z marmuru, a każda na inny wzór zrobiona. W głębi gmachu znajdują się drzwi do Sunechendu, gdzie Koran zamykano; drzwi są okryte jak najdelikatniejszą rzeźbą, ozdobione kolumnami i noszą napisy arabskie. Sala przeznaczona na chowanie księgi świętej, ma kopułę marmurową, która przepuszcza tylko w głąb gmachu, tajemnicze to światło, łączące się tak zgodnie z obrzędami wiary. Oto wielka kazalnica z której Mufty ogłaszał słowa Proroka, chór gdzie się kapłani zgromadzali, sala obmycia, przysionek gdzie składano sandały. Wszystko jest cudowne. Jakże potężni musieli być ci ludzie, którzy wznieśli takową budowę w przeciągu lat trzydziestu sześciu! Zadziwiło mnie tyle piękności; żałowałem prawie, że Machomet już nie panuje w tych

miejscach. Od roku 1206, meczet ten służy ku czci prawdziwego Boga; koran ustąpił miejsca ewangelii. Xięża hiszpańscy przez źle zrozumianą gorliwość, lub raczej przez ciemnotę, uszkadzali często, najpiękniejsze części tego zadziwiającego pomnika.

Złożywszy hołd podziwieniu tym wspaniałym utworom sztuki, nabłaskawszy się długo wśród tych marmurowych samotni, zapragnąłem nakoniec ujrzeć się w obec natury i dać wolny bieg innym wzruszeniom; puściłem się Gwadalkwiwirem do Sewilli. Pierwszego dnia, brzegi téj rzeki tak bogate rozmaitością, tak ozdobione odmiennemi widokami, nie dozwoliły mi zważać na powolność podróży. — Ach! czemuż nie mogę udzielić moim czytelnikom, wszystkich cierpień, wszystkich niebezpieczeństw, na które mię wystawiły w czasie téj krótkiej żeglugi, niedbalstwo i niezgrabność wioślarzy. Nie, nazajutrz nie miałem odwagi wziąć

znowu do ich czółna; oparłem się wszelkim ich naleganiom, sam nawet Gwadalkwiwir, w gronie Najad swoich, nie byłby zdołał przezwyciężyć wstrętu, ku tak niebezpiecznemu i jednostajnemu sposobowi podróŜowania! Szczęściem, biegun andaluzyjski wyrwał mię z tego kłopotu i zapuściłem się w zakręty Sierra-Newady. Czerwone wieŜe zwiastowały mi wkrótce, Ŝem się znajdował w obec Grenady. (*)

(*) WieŜe czerwone wpadają najpierw w oko podróżnemu, tak przez nadzwyczajną wysokość swoją, jako i przez znaczną przestrzeń którą zajmują. Archeologowie naznaczają im dawniejszy początek niŜeli Alchambrze; niektórzy dziejopisowie twierdzą, Ŝe wzniezione jeszcze były przez Kartagińczyków, inni Ŝe przez Fenicyan. Nie wchodząc w roztrząsanie prawdy, powiem tylko, Ŝe noszą ślady rozmaitych stylów architektury. Maurowie dali do nich nowe przybudowania, i używali ich podczas oblęŜenia na śledzenie kroków nieprzyjacielskich. Podczas pokoju, muzzelim (muezzim) stanąwszy na

W miarę jakem się zbliżał ku miastu, gorzystą drogą, wysadzoną rozłożystemi drzewy, a po bokach mającą najzieleniejsze gaiki, postrzegałem tu i owdzie wystającą strzałę wieży; potém całe kościoły, białe domy, fontanny, minarety rysujące się na błękitnie najpogodniejszych niebios, a w głębi widokręgu Mulehascen jak olbrzym dźwigał w obłoki śniegami okryte czoło. Gdy wspaniały ten widok rozwinął się przed memi oczyma, na wspomnienie tylu bohaterskich przygód, tylu romantycznych miłostek, tylu szlachetnych nieszczęść, luba smętność umysł mój ogarnęła.

Wydobywszy się nakoniec z długich wąwozów Passu, mogłem ogar-

ich szczycie obwieszczał rolnikom godziny w których mieli zaprzestawać pracy, lub czas najdogodniejszy do polowania. Dzisiaj dolną część tych wież przywłaszczyła sobie osada garncarzy; przyczepili do nich piece i domy, po których koziwrzos i winorośl zarzucają uploty swoje, co nadaje budowie widok ujemniernie malowniczy.

nać jednym rzutem oka, obszerną dolinę w pośród której stoi Grenada.— Stare Kastylijskie wojska tam mierzyły się tylokrotnie z Maurytańskimi zastępami!...

Tuż przy mnie wznosiła się wieża Santa-Fe, zbudowana w miejscu gdzie chrześcijanie roztoczyli obozy; nieco dalej, na Xenilu spostrzegałem most Pignos, gdzie odwaga dwóch Maurów wznowiła czyny Horacyusza Koklesa. Gdyby mię dręczyła chęć okazania méj erudycji, mógłbym tu powtórzyć całe oblężenie Grenady, opowiedziałbym po raz tysięczny dzieła Cyda-Kampeadora, dzikie męstwo Zegrysa, wspaniałomyśność Abenceragów, biegłość w sztuce wojennej Muzyben-Gozan; świetne natarcie jazdy andaluzyjskiej, pod dowództwem wielkiego mistrza z Kalatrawy Teleza Giron, i zimną krew piechoty Kastylańskiej, której przywodził Ponce-Leon. Wspiąłem konia ostrogą, w cwał przeskoczyłem owe heroiczne wały,

i odprawiłem wjazd mój do Grenady przez *Viva Rambla*, przeszedłszy pierwój *Arco de las Orejas*. (*) Nazajutrz pierwsze moje kroki, pierwsze spojrzenia poświęciłem Alchambrze, której imię i opis znajdują się w dzienniku każdego wędrownika.

Te wieże w proch się rozsypujące, te puste dziedzińce, te posępne sale, te milczące galerje, te wałownie w gruzach, te mury najeżone walącemi się basztami, ten obraz tak uroczysty, tak wspaniały, znikłej wielkości, obudziły w mej duszy głębokie uczucie smutku i podziwienia. Wszystko tam nacechowane było prawdziwą wielkością najwykwintniejszym zbytkiem. Wszystko co sztuka zdołała utworzyć, hojnie tam jest rozsypane. Przebiegłem obszerne salony, w których kąpały się niewiasty haremu, dziedziniec Lwów,

(*) *Bráma Uszu*, nazwanie. jednej z bram Grenadyjskich, na której za czasów muzułmańskich wystawiano ciała zbrodniarzy.

okoliczne przysionki, wielki i mały ogród, kwietniki, tarasy, labirynty, salę sprawiedliwości i gmach dwóch siostr, których sufity ozdobne są warabeski, bogate złotem i lazurowymi malowidłami, salę Abenceragów gdzie pierwsi wodzowie tego walecznego plemienia, zamordowani byli na rozkaz Boabdila, galerye, schody, kurytarze. Pomimo samotności i głębokiego milczenia które tam panuje, nie zmniejszało we mnie, raz powziętych wrażeń. Alhambra jest utwór wielki, wspaniały, cudowny.

Na pagórku leżącym na drugim brzegu rzeki, zakochany książę zbudował dom wiejski, godny panów Alhambry. Było to siedlisko uciech i rozkoszy.— Ogrody Generalifu przewyższały wszystko co dotąd widziano. Dzisiaj perz owładnął aleje niegdyś piaskiem złotym wysypane; szpalery grabowe, drzewa w tysiące dziwacznych kształtów pociosane, przedstawiają teraz niekształtne masy

zieloności, woda stojąca, zatęchła, zapełnia sadzawki, a pośród tego zniszczenia wznoszą się ogromne cyprysy, jak gdyby chciały uwiadomić zdala wędrowca, że terozkoszne miejsca są dzisiaj mieszkaniem pysznej nędzy.

Nie wiele miast starodawnych tak mało zmieniło powierzchowność jak Grenada. Ulice są ciasne, kręte, jak po wszystkich miastach Maurytańskich; domy niezmiernie wysokie, źle są wewnątrz oświecone, a na placu *Viva Rambla*, zdaje nam się że jeszcze jesteśmy w pośród ludności arabskiej. Sklepy prawie ten sam pozór zachowały co za czasów maurytańskich. Widząc te twarze czarne, te szerokie policzki, wypukłe oczy, kibić okrągłą, nie mogłem się wstrzymać od wykrzyknienia: »Oto potomkowie Machomet!« Zwiedziwszy dawny gmach pocztowy, którego Hiszpanie przeistoczyli na skład węgla, i kilka mniej znanych ciekawości, wróciłem nad brzegi Gwadalkiwiru.

Sewilla daleką jest od tego aby była cudem świata, jak ją od dawna Hiszpanie przewali, lecz pobyt w niej niezmiernie zachwyca. Wznosi się, sławną swoją *Giraldą*, w pośród równiny, na której palmy, bananasy i pomarańcze, rosną prawie bez uprawy. Gwadalkiwir ułatwia związek między Sewillą a morzem; niektóre ulepszenia spławu rzeki, ziszczone po części podczas pobytu Francuzów w Hiszpanii, przeciągnęłyby z łatwością aż do Korduby tę linią komunikacyną. Lecz kiedyż Hiszpanie będą tak oświeceni, że zdołają pojąć użytek kauałów, i tak przemysłni, aby z nich korzystać umieli? Tutaj wszystko zgrzybiałość zwiastuje: ulice ciemne i kręte, źle zbudowane domy, gmachy w zwałiskach. Gdy Ferdynand zdobył Sewillę, 400,000 Maurów ją opuściło; dzisiaj liczy zaledwie 90,000 mieszkańców. Roku 1601 było w Sewilli 16,000 warsztatów jedwabnych w ruchu i 130000 robotników; roku 1830

2,500 warsztatów nie zawsze dostarczało roboty 14,000 robotnikom. To porównanie, aż nadto świadczy o upadku Sewilli.

Sewillą zbudowana była przez Fenicyan i zwała się *Hispalis*, od imienia założyciela. Podległa Rzymianom, podobnież jak półwyspa, przeszła potem pod panowanie Arabów, i stała się stolicą małego królestwa, które przez lat sto trwało.

Rzymianie, prócz wielkiej wieży i wspaniałego wodociągu, nie zostawili innego śladu przejścia swojego. Maurowie podczas swego pobytu myśleli o upiększeniu miasta i zaczęli budować pałac, który byłby zrównał wspaniałością Alchambrze. — Lecz Chrześcijanie nie dali im czasu do ukończenia go; zaszczyt ten przeznaczony był następcy Piotra Okrutnego. Alkazar, taki jak jest dzisiaj, odznacza się jedynie dziwactwem budowy. Katedra, rękodzielnia tabaki, ludwisarnia, zasługują także na u-

wagę podróznego. Zwiedziłem archiwum Indyjskie, gdzie zebrano i ułożono metodycznie, wszystkie dokumenta służące do historyi obu Ameryk, poczynwszy od patentu danego Krysztofowi Kolumbowi, aż do planów niedorzecznej wyprawy; powziętej przed kilką laty na odzyskanie Świata-nowego.

Byłem w ojczyźnie Velazkeza i Murillo, nie chciałem opuścić Sewilli nie-
złożywszy wprzód hołdu podziwie-
nia ich arcy-dziełom. Velazkez i Mu-
rillo, owe dwie ozdoby sztuk w Hi-
szpanii, dobili się sławy odmiennemi
postępując drogami. Velazkez polecił
swe natchnienia opiece królewskiej;
Murillo dozwoili swoim pędzlobłą-
kać się na los. Velazkez poświęcił
talent wyłącznie woli monarchy; pra-
cownia Murilla otwarta była dla każ-
dego co go umiał ocenić. Malowanie
Velazkeza jest uczone, pracowite;
pędzel Murilla śmiały, nagły, nieskrę-
powany więzami prawideł. Przedmio-

ty Velazkeza są wyszukane, grono-
staje i jedwab błyszczą prawie we
wszystkich jego utworach. Murillo
celował w przeciwnym rodzaju; jego
to ubodzy, jego żebracy i ich nę-
dza, popularnym talent jego uczy-
niły. Trudno znaleźć w Hiszpanii ka-
tedrę w którejby nie było obrazu
Murilla; ale szczególnie w klaszto-
rze Świętego Hieronima, w Sewilli,
można widzieć najpiękniejszy zbiór
prac tego malarza. Mnich podjął się
bydź moim cycerone; przy każdym o-
brazie słuchać musiałem długiej histo-
ryi; alem nie słuchał, dziwiłem się.
Znudzony nakoniec tą zabójczą eru-
dycją, uciekłem przed niezmordowa-
nym opowiadaczem i pobiegłem wi-
dzieć *toreadorów*.

Tauromachia Sewilska, ustanowio-
na przed kilku laty przez Ferdynan-
da VII, ma swego rektora, profess-
rów, klasy, jak uniwersytety Tole-
du i Salamanki, i uczniów niemniej
burzliwych, lecz nieco poetyczniej-

szych. W pośrodku nich, bez pomocy żadnego *cicerone*, łatwo da się rozróżnić po dziwacznym ubiorze, *Majo*, elegant brukowy, przedpokojowy Lowelas, kochanek wszystkich pokojówek, a szczególnie wielki znawca gonitw byka. Osobliwy zbieg władz ciała i duszy, stanowi doskonałość Maja. Wyśmienity jeździec, celnie strzelający z pistoletu, zręczny we wszelkich ćwiczeniach, powinien znać teorię i praktykę wszelkiego rodzaju sztyletów; *naraja*, *pugnal* i *lanzo*, nie powinny mu być obcemi; powinien tańczyć zgrabnie i z mocą, *matraco*, *muchiganga* i *fandango*; zabrzakać na gitarze, zanucić piosnkę modną i w przypadku improwizować *segadille*. Jego sztuką, jego rzemiosłem, jest dworność; powinien okazywać się również przyjemnym dla dam, jak groźnym dla mężczyzn. Mnogość jego pojedynków, jego zabójstw nawet, jest dla niego chlubą; im więcej zabił ludzi w pojedynczych walkach,

tém więcéj jest poważanym. Naprawiać krzywd, mściciel obelg, nie zawsze jest w zgodzie z trybunałami; nic to jednak nie szkodzi! Nie jeden Majo z bliska widział *Presidios de Ceuta*, a dla tego nie stracił publicznego szacunku. Sewilla jest ojczyzną *Torrera* i *Maja*. Widzicie, iż się odróżnia od rywalek nie jednym rodzajem sławy.

Po prawym brzegu Gwadalkiwiru, o milę od Sewilli, ukazuje się mała wioseczka, prawie dzisiaj nieznaną, jest to *Italica*, stara Sewilla, ojczyzna mężów którzy największy zaszczyt przynieśli tronowi Cezarów; jest to miasto gdzie urodził się Trajan, Adryan i Teodozjusz. Szedłem drogą przerzynaną ogrodami i gajami pomarańczowemi, prowadzącą do tego zniszczonego miasta i w przecho-dzie oddałem pokłon zwaliskom domu bohatera, którego Pliniusz głosił.

Na kończynie przesmyku zapuszczającego się w morze, na przeciwko uj-

ścia Gwadalety, wznosi się Kadyx, przewany nie dobytym, opasany wałami, najeżony palisadami i redutami. Ciekawy byłem zwiedzić tę osobliwą wyspę Leon, połączoną z lądem stałym przez most Suazo, która na przestrzeni czterech mil w dłuży a jednej w szerz, zawiera więcej niżeli 100,000 mieszkańców: prawdziwe zjawisko w kraju, gdzie ludność tak żyje przestrono jak Gauchowie w Pampasach Buenos-Ayres. Lecz tam znajduje się Kadyx, wał całej Hiszpanii, San-Fernando otoczone cyprysami i palmami, Caracca ze swemi arsenałami i warsztatami okrętów, tam na koniec, jeżeli jesteś archeologiem, w wodach Santi-Petri w pośrodku zwalisk świątyni Junony, możesz znaleźć bogaty zbiór antyków. Lecz ja, mało ceniący starożytne szczątki, chciałem przebiec oczyma tę przystań niezmierną, nad którą panuje Kadyx, którą osłaniają uśmiechające wzgórza, na której brzegach roz-

siane są tak malownicze wioseczki.

Kadyx był niegdyś jednym z najbardziej uczęszczanych portów Europy. Tam to zawijały galiony naładowane skarbami Meksyku i Peru. Wszystkie narody europejskie niosły tam w zamian płody, których dostarczyć nie mogli osadnikom Amerykańskim, tak mało przemysłni mieszkańcy półwyspu. Dzisiejszą niepodległość osad, powróciwszy tym zamiarom bieg ich naturalny, pozbawiła Kadyx korzyści, jakie mu jednało monopolium. Lecz port jego zachował korzyści, które mu zapewnia piękna jego przystań, główny punkt wywozu płodów, żywności i ludnemi miastami okrytej krainy. Chiklana, Conil, Pejar i przylądek Trafalgar, przesunęły potem przed memi oczyma urozmaicone panorama.

Po Manszy, Estramadura jest jedną z najuboższych prowincyi hiszpańskich. Niebo zawsze tam jest czy-

ste i bezchmurne, upał nieznosny, niepłodna ziemia, stada merynosów pochłaniają corocznie rzadką roślinność, która ją pokrywa. Estramadura pozostała prawie obca postępom, które postrzegać się dają w innych prowincjach półwyspu: widać zaledwie słabe ich ślady na pograniczu wielkiego gościńca ku Badajoz. Przebiegając tak zwane despoblados téj krainy, radzę mieć zawsze broń pod ręką, chociaż okropne przepowiednie, któremi Hiszpanie tak hojnie szafują, nie zawsze się ziszcza. Niezawodną jest jednak rzeczą, iż prawo tak potężne dzisiaj w środkowej Europie, nie rozciąga tu nad podróźnemi dostatecznej opieki. Rolnik nawet wychodzi do pracy uzbrojony jak na bitwę; w długich też wycieczkach, wśród których nie podobna znaleźć schronienia, chyba w jakiejś samotni którą zarastają krzaki, palmy, aloesy, figi barbaryjskie, wędrownik zapomina łatwo, że te dziwne oby-

czaje i ta natura afrykańska, jeszcze do Europy należą.

Wśród miast téj prowincyi, Badajoz jéj stolica, słynie tylko przez liczne oblężenia, które wytrzymała i obrazy Moralesa zdobiące jéj katedrę. Meryda po nad Gwadyaną, była stolicą starożytnéj Luzytanii; po zwycięstwie nad Kantabrami, August postał tam osadę i nadał jéj imię. Meryda posiada jeszcze wiele zwalisk rzymskich: most o sześćdziesięciu arkadach, wodociąg nadzwyczajnie wysoki, cyrk i nomachia, najbardziej zasługują na uwagę.

W pośrodku skał Sierra Gwadalaxara, wznosi się klasztor poświęcony Najświętszéz Pannie. Tam to zmieniawszy orężem losy Europy, Karól V, przedwczesną dręczony starością, schronił się wraz z zegarmistrzem, Guameto Turriano, swoim ulubieńcem.

Ze skalistego to łona Asturyów wyszedł Pelagiusz przeciwko Mauróm,

aby podnieść sztandar wiary; w grocie Gowagonda układał swe zamiany, sposobił swe wojsko do walki i założył pierwsze podstawy monarchii, która miała zniszczyć na zawsze potęgę Muzułmanów w Hiszpanii.

Na pamiątkę tych łask wyświadczonych chrześcijaństwu i monarchii hiszpańskiej, najstarsi synowie królów katolickich, przybierają dzisiaj tytuł książąt obu Asturii. Owiedo, jedynie zasługuje w tej prowincyi na nazwisko miasta. Katedra może być bardzo zajmującą dla badacza pomników średnich wieków; miłośnicy legend i cudowności, mogą u zakrystyana zadowolić wyobraźnię.

Nie spodziewajcie się znaleźć w Nawarze i Biskai widoków malowniczych, uśmiechających się krajobrazów; natura jest tu ponura i surowa; lecz za to są zebrane i połączone wszystkie odcienia szczytności: le-

gędy rycerskie, wspomnienia miłości i sławy, ów starożytny duch przygód i przedsięwzięć, który przez obszerny ocean prowadził tylu wojowników i żeglarzy, wszystko, nawet nie uleczony fanatyzm, nawet ponura zabobonność téj krainy, połączają się aby jęj nadać odcień świetnej oryginalności i mocne wzbudzić zajęcie. Wały Kuelarù, Penafielu, Agwislàru, przywodzą waleczne czyny jęj władców; Ronceveau powtarza jeszcze ostatnią tchnienie Rolanda, a San-Sebastyan pyszni się iż pierwszy wskazał żeglarzom hiszpańskim, drogę do Indyj zachodnich i oceanu północnego.

Saragossa na cały Arragon rozrzuca jaśniejące promienie chwały; ma swe opiekuńcze dziewice, męczenników, legendy, cudami słynące kościoły.

Dzieje wojenne nie przedstawiają nic podobnego straszliwemu pasowaniu się, podczas oblężenia Saragossy 1808

r., pomiędzy wojskiem francuzkim pod rozkazami jenerałów Verdier i Lefebvre, a mieszkańcami i załogą tego miasta, któremi dowodził jenerał Palafox. Saragossa nie jest bynajmniej warownią, mur z cegieł któren ją otacza, ma zaledwie dwanaście stop wysokości i przetrzynięty jest w rozmaitych miejscach domami, tworzącemi całość z wałem. Miasto wznosi się na odkrytej równinie, otoczonej wokoło wysokimi górami. Ebro, na którym są dwa mosty, jeden drewniany drugi kamienny, oblewa mury miasta i oddziela go od przedmieść. Ztąd łatwo poznać, iż położenie Saragossy i jej obwarowanie, nie przedstawiały bynajmniej groźnej całości; ale rozpaczna odwaga zastąpiła wszelkie środki obrony. Każden dom stał się warownią, a po czterdziestu pięciu dniach pasowania się, walk uporczywych, stare wojsko francuzkie zmuszone zostało do odwrotu. Choć wspomnienie tego oblężenia za-

trze się w pamięci ludzkiej, kulę włożoną w portyk kościoła Świętej Engracyi, przypominać jeszcze będą bohaterstwo Sarragossy.

W staréj Kastylii napotyka się tylko miasta w gruzach, domy zakopcone; pospólstwo żyje w najbardziej odrażającej nędzy, i ma wyłączne prawo do wszelkich hańbiących przydomków któremi cudzoziemcy tak szczodrze Hiszpanów obsypują. Burges, chociaż kolebka Cyda, przedstawia tylko nędzne lepianki, w których leniwy i ubogi mieszkaniec chroni się jak może przed zimnem i słońcem. Okazały, ogromny wodociąg zwiastuje Segowia; rozumiałem że w tém mieście napotkam czynność, ślad jakowy przemysłu; bynajmniej, wszystko tu jest ponure, spokojne, a w pośród tego milczenia wznoszą się tak jak wszędzie, zwaliska meczetów arabskich i rzymskich budowli. Salamanka nie przedstawia bynajmniej ożywionego obrazu uniwersytetów niemieckich;

jakiś wyraz zakonny wryty jest na twarzach jej bladych studentów. Gdyby zapytać się starych archiwów jej uniwersytetu, możnaby napisać dzieje wszystkich wieków literatury Iberyjskiej, ona bowiem wydała najpierwsze Hiszpanii jeniuse.

Idź do Toledu, jeżeli chcesz poznać prawdziwy ród Kastylański. Cesarzski Toled, dumny jeszcze iż był stolicą monarchów Hiszpanii, owija się szlachetnie w poły starego płaszcza swojego. Nie żądaj od Tole-danina czynności, przemysłu, kiwnąłby z niechcenia głową, spojrzałby ci w oczy i nie wyjąwszy z ust cygara, puszczając przez na wpół otwarte wargi długi kłęb dymu, odpowiedział: »*Ubliżasz Hidalgowi.*» Jakie też rozkoszne *far niente* panuje w Toledzie! Siesta (spanie poobiednie) stało się tu publiczną potrzebą. Jakiejże używają ostrożności aby uchronić się przed dziennym upałem, aby uniknąć w tych słodkich wchwilach,

kłopotów domowych, natrętnych odwiedzin!

Bogatsi nie sądzą się dosyć bezpieczni w mieście; ażeby dogodzić téj koniecznej potrzebie, budują małe domki za miastem, wyłącznie poświęcone sieście: zwykle w pośród ogrodu na pochyłości wzgórza, po nad brzegiem strumyka, obok łąki, wznoszą się te świątynie próżniactwa i lubości (*). Toledo i Walladolid wzrosły w wielkość i zamożność przy dworze i królach; kaprys królów i dworu zniszczył je. Te miasta są dzisiaj zaledwie cieniem samych siebie.

Alkala, Awila, Casa-del-Campo, Villa-Vielosa, San-Fernando, smutne tylko przywodzą wspomnienia, przekładam nad nie, bogate płaszczyzny Aranjuezu, skropione Tagiem i Xaramą. Tutaj ziemia jest płodna, roślinność czynna, topola, płacząca

(*) Toledanie zowią je cigaralles, domy do palenia fajki.

wierzba rosną bez uprawy; wino, oliwa, morwa biała, odziewają swą zielonością pochyłe wzgórza, a na wysokich górach, sosny i kermesy wspianiałe wierzchołki podnoszą. Wszędzie zadziwiająca rozmaitość ogrodów, sadów, kwiekników, gajów; na pastwiskach to Avanjuezu wzrastają owe dumne Andaluzyjskie rumaki; tutaj w *Real cortejo*, rosną krzewy Ameryki południowej, obok sosen i modrzewów północnych; nieco dalej zadziwia kaskada Tagu, który wspaniale przebiegłszy obszerne doliny, zdaje się opuszczać swe łożysko i z łoskotem rozlewać.

Przed panowaniem Filipa piątego, San-Ildefons był tylko wytechnieniem myśliwskim, lecz stał się pałacem gdy ten król zakłóciwszy przez pół wieku Europę, pomyślał o spoczynku życia prywatnego. San-Ildefons jest rezydencją prawdziwie królewską, jest to Kórseł Hiszpański gaje, ogrody, strumienie, wodotryski, mar-

mury, posagi, altany, kaskady, mosty, wszystko tam można znaleźć, prócz chłodu i miękkich trawników ogrodów Windsorskich. Filip Vty wydał na upiększenie tego zamku summy niezmierne, i o mały kraj nie zrujnował. Później, niewiadomo przez jakie dziwactwo chciano go przemienić w miejsce przemysłu; lecz ta kosztowna spekulacya zgubny tylko wydała rezultat, gdy tymczasem Gwadalaxara, sama sobie zostawiona, wznosiła się kwitnąca, najpomyślniejsze wróżąc nadzieje.

Żaden opis nie zdoła wydać widoku zniszczenia, któren zupełne wycięcie drzew nadaje równinom Kastylii i Mانشy. Lasy upiększające niegdyś te okolice, zniknęły zupełnie. Nic zgoła na płaszczyźnie ciągnącej się od Sommo-Sierry do Madrytu, nie daje się domyślać bliskości stolicy, Madryt, prawdziwa oaza wśród pustyni, leży po nad brzegiem dość głębokiego parowu, którym płynie Man-

zanares. Ta rzeczka przy końcu Kwietnia sączy zaledwie kilka nitek wody po piaszczystém łożu, jest jednak uwieńczona przepysznym mostem, gruntowność jego i olbrzymie zarysy źle zgadzają się z przeskodą którą miał przezwyciężyć. Wszystko tu jest sprzecznością, Madryt, z prostego miasteczka wzniósł się nagle pod Filipem II do rzędu stolic, lecz jeszcze nie przybrał metropolitalnej postaci. Zamek królewski, pałace książąt i możnych panów, obszerne koszary gwardyi, uwiadamiają wprawdzie cudzoziemca że się znajduje w rezydencyi królewskiej, lecz pospolite budynki które je ze wszystkich stron otaczają, tém bardziej odbijające od tych pysznych gmachów, wykrywają także niedawny początek tego uszlachetnienia. Jeśli jednak lubisz lud ukazujący się w całej szczerości swego charakteru, któremu dla przypatrzenia się cząstkowo nie potrzeba wchodzić pod dachy miesz-

kań, idź w dzień do *Puerta del Sol*,
a wieczór do *Prado*.

Wieczorem, Prado jest schadzką
wszystkiego co jest najpiękniejszém,
najwytworniejszém w Madrycie; ko-
cze, karety, karykle, cisną się, krzy-
żują na pobocznych ulicach; gdy tém
czasem w wielkiej alei przeznaczonej
dla pieszych, tłumy na kształt fali
idą, wracają, mieszają, wydając szmer
jak rój pszczoli: światło jest przyćmio-
ne, ubiory posępne; jednakże przy
zmroku dostatecznie spostrzedz mo-
żna ułudzące wdzięki i omdlałą smę-
tność Madrytanki; żywość jęj jestów,
srebrny dźwięk głosu, szelest jęj man-
tylli, podniecą zrazu ciekawość, pod-
budzą uwagę; lecz jeśli zbliśka przy-
patrzysz się jęj licom, szkarłat jej
cery, brwi tłuczyste, iskry jęj oczu,
podbiją twoją duszę; nie opieraj się
złudzeniu, daj się unieść porywające-
mu cię potokowi, i ktokolwiek jesteś,
wyznawca Konfuciusza, kwakier, czy
anabaptysta, uklęknij z nią razem sko-
ro tylko dzwon zabrzmie...

